

**MÓJ
#CZARNYPROTEST**

**WIELKA KOALICJA
ZA RÓWNOŚCIĄ I WYBOREM**

MÓJ #CZARNYPROTEST

© Copyright by Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny,
Warszawa 2017

Redakcja
Kazimiera Szczuka

Skład
Bożena Sawicka

Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny
ul. Nowolipie 13/15
00-150 Warszawa
tel. 22 635 93 95
federacja@federa.org.pl
www.federa.org.pl

ISBN 978-83-88568-51-0

SPIS TREŚCI

MÓJ #CZARNYPROTEST

| | |
|---|----|
| Wstęp – Kinga Dunin i Kazimiera Szczuka | 4 |
| Monika Pacyfka Tichy – Coming out, czyli wyjście z szafy | 6 |
| Katarzyna Krzysztofik – Polacy, dlaczego nie jesteście za życiem? | 12 |
| Anonim – By inne nie musiały kłamać | 14 |
| Izabela Smętek – Jestem introwertyczką i poszłam na manifestację | 18 |
| Olga Żmijewska – Sex & the city 2016 | 22 |
| Maria Trojanowicz-Kasprzak – Protestowe rozterki... | 26 |
| Lady Pasztet - Katarzyna Barczyk – Z perspektywy kury nioski: feminizm wysiedziany | 30 |
| Aleksandra Zakrzewska – 3 października, poniedziałek | 34 |
| Jarosław Bloch – Żałoba | 38 |
| Katarzyna Chołuj – Trudno marzyć | 42 |
| Katarzyna Durajska – *** | 46 |
| Anna Be – Krótka historia miłości bliźniego | 50 |
| Supernova – Mój czarny protest trwa już od dawna | 54 |
| Zdjęcia | 58 |

WSTĘP

Opowiadania zawarte w tym zbiorze opisują współczesną Polskę, na ogół z perspektywy średnich i małych miast. Autorki – i jeden autor – przedstawiają moment zakwestionowania utartego schematu codzienności. Prywatne staje się polityczne. Rodzi się bunt. Polska, którą tu poznamy to przede wszystkim przestrzeń hipokryzji. Czarny protest stał się chwilą jej odrzucenia, wykrzyczenia prawdy o doświadczeniu tych obywaterek i obywateli UE, którym przyszło żyć w kraju będącym poligonem doświadczalnym walki fundamentalistów o „rechrystianizację Europy”.

Według rządowych danych w 2016 roku przeprowadzono w Polsce 1098 legalnych zabiegów przerwania ciąży.

Tych nielegalnych było, jak co roku, prawdopodobnie około 100 tysięcy. Dzięki aborcji farmakologicznej, tzw. turystyce aborcyjnej, a także lekarskiej zмовie milczenia. Dramat podziemnych zabiegów, rejestr okaleczeń i śmierci kobiet rzadko dociera do opinii publicznej. Medialne skandale, takie jak „sprawa Chazana”, profesora, ginekologa położnika, który zmusił pacjentkę do urodzenia dziecka bez czaszki są – wobec skali zjawiska – stosunkowo nieliczne. Bo nieliczne są kobiety, które po traumatycznych doświadczeniach mają wolę walki na drodze prawnej i gotowość do współpracy z mediami. Wiele z tych, którym teoretycznie przysługuje prawo do aborcji wybiera drogę „radzenia sobie” poza legalnym systemem. Rejestr ministerstwa zdrowia odnotowuje jedynie przypadki przerywania ciąży z powodu ciężkich, nieodwracalnych wad i uszkodzeń płodu. Przerwane ciąży będące wynikiem gwałtu, kazirodztwa czy współżycia z nieletnią nie są odnotowywane, mimo, że teoretycznie prawo na nie zezwala. Ofiary gwałtu lub matki nieletnich dziewcząt – zwłaszcza, gdy rzecz dzieje się w małych miejscowościach - boją się zwodzenia, dezinformacji, odsyłania gdzie indziej (gdzieś „do Warszawy”), poniżania czy nagonki ze strony lokalnego środowiska anti-choice, bo plotki rozchodzą się szybko. Lekarze i całe placówki publicznej ochrony zdrowia zasłaniają się klauzulą sumienia. W tej sytuacji pozostaje Internet i przygraniczne kliniki po czeskiej, słowackiej czy niemieckiej stronie. Tam większość pacjentek to Polki, którym w kraju w ogóle nie przysługuje prawo do przerwania ciąży, ale i te, które obawiały się zderzenia z „sumieniem” lokalnego publicznego szpitala. Od roku 1993, kiedy w Polsce, przegłosowano prawo dopuszczające aborcję jedynie w szczególnych wypadkach, realne położenie kobiet wobec prawa i systemu ochrony zdrowia stale się pogarsza. Edukacja seksualna została wyrugowana ze szkół jako

diedzina kontrowersyjna i w domyśle „demoralizująca”, antykoncepcja hormonalna jest pełnopłatna i trudno dostępna. Ostatecznym narzędziem osaczenia kobiet stał się wyrok Trybunału Konstytucyjnego z roku 2015, co w praktyce sprowadza się do stosowania klauzuli sumienia przez całe szpitale, a nawet regiony. W tej sytuacji zdobycie większości parlamentarnej przez populistyczną prawicę w wyborach 2015 roku postawiło w stan zagrożenia nie tylko instytucje liberalnej demokracji, ale – wprost – zdrowie i życie kobiet. Narastający od lat gniew zawrzał i wybuchł.

Czarny Protest – bo taką ogólną nazwą objęte zostały wszystkie demonstracje, petycje, pikety etc. – trwał w sumie przez około 6 miesięcy.

Kalendarium Czarnego Protestu otwiera 14 marca, kiedy zarejestrowany został komitet inicjatywy ustawodawczej „Stop aborcji”. Za projektem stała międzynarodowa katolicka organizacja Ordo Iuris, dążąca do „ponownej chrystianizacji” Europy, m.in. właśnie poprzez zniesienie praw reprodukcyjnych kobiet. Nie była to pierwsza tego rodzaju próba, ale dla religijnych fanatyków układ sił w polskim sejmie stworzył sytuację „teraz albo nigdy”.

Pozaparlamentarna środowiska lewicowe i organizacje kobiece decydują się na złożenie kontr-ustawy wobec tej szykowanej przez Ordo Iuris. 11 maja komitet Ratujmy Kobiety rozpoczyna swoją zbiórkę minimum 100 tysięcy podpisów koniecznych do złożenia projektu ustawy „O prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie”, zawierającej całościowy standard praw reprodukcyjnych.

23 września oba projekty obywatelskie przedstawione zostają w parlamencie. „Stop aborcji” zostaje skierowany do prac w Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka. Ratujmy Kobiety został odrzucony po pierwszym czytaniu. Staje się to zarzewiem kolejnej, nazwijmy to powakacyjnej, fali feministyczno-obywatelskiego przebudzenia. Czarny Poniedziałek 3 października przekracza wszelkie oczekiwania organizatorów. W strugach deszczu – stąd nazwa „protest parasolkowy” - ludzie stoją całymi godzinami, do późnego wieczora. Szóstego października, w nagłym, nerwowym trybie Sejm odrzuca projekt komitetu Stop aborcji. Bitwa została wygrana.

O co walczyły kobiety podczas Czarnego Protestu i licznych innych działań z 2016 roku? Odpowiedź brzmi: o wszystko. O całe życie. Jeden kamień dorzucony przez PiS do tych wszystkich, które już musiały nieść polskie kobiety, wywołał lawinę. Opisały to w zebranych przez nas opowiadaniach.

Kinga Dunin, Kazimiera Szczuka

MONIKA PACYFKA TICHY

COMING OUT, CZYLI WYJŚCIE Z SZAFY

W pierwszym szeregu stojących naprzeciw mównicy zobaczyłam mojego ojca, a w jego ręku różaniec. „Prawa kobiet! Prawami człowieka!” - krzyczał rozfalowany tłum. „Przynajmniej sam, na własne oczy zobaczy, że nie jest tak, jak mówi ta jego telewizja, że sto osób przyszło” - taka była moja pierwsza myśl. A potem jego oczy trafiły na moje.

I przyszedł strach.

Plac Solidarności pełen ludzi po brzegi. Szary beton bruku, bure budynki, ciemnografitowy Anioł Wolności Grudnia '70. Ołowiane chmury. Lodowobiałe ściany Filharmonii. Czarne ubrania. Czarno na białym drukowane hasła. W tym monochromatycznym krajobrazie czerwień szminki na naszych ustach i tęcza flagi, którą trzymam wysoko nad głową.

Flaga ma napis „PACE”. Po włosku „pokój”. Kupiłam ją w Asyżu, pod bazyliką świętego Franciszka. Tam tęcza znaczy właśnie pokój. Ale tutaj chcę tą tęczą powiedzieć coś innego. Tak jak światło jest miksem wszystkich kolorów, a każdy z nich równie ważny, tak w Polsce powinna być przestrzeń dla wszystkich. W naszym kraju spokojnie i w zgodzie ze swoim sumieniem żyć mają wszyscy. Nie tylko biali, jasnowłosi, heteroseksualni mężczyźni-katolicy nieznający języków obcych.

Kiedyś byłam młodą, rozmodloną panną czytającą Biblię i trzy razy w tygodniu służącą do mszy. Sakramentalną małżonką. Wierzącą w te ściemy patriarchy, opakowane w liryczne sacrum, w które wierzy mój ojciec.

Ojciec nie wie, że już nie wierzę. Nie rozmawiam z nim o niczym ważnym, mimo że widuję go, bo moja mama czasem zajmuje się moim synem. W tej chwili, jak zawsze w środy po południu, mały jest u babci. Ale ja nie jestem w pracy, jak zazwyczaj, jestem na strajku.

Ojciec nie wie, że mój mąż pracujący za granicą ma już kogoś innego, i że ja mam również. Ojciec nie wie, jakiej rasy, płci i wieku są nasi nowi partnerzy. Po co mam mu mówić, skoro wiem, że on „takich” nie akceptuje?

Ojciec nie wie, że byłam na każdym antyrządowym proteście lokalnym i centralnym od czasu, gdy do władzy doszła Partia. Jego Partia.

Ojciec jest członkiem Partii.

Więc co on tu robi?

I co będzie teraz? Czy matka jeszcze mi pomoże, skoro w czasie, gdy zajmuje się wnuczkiem ja poszłam na wiec „aborcjonistek”?

Podeszłam się przywitać. Nie podał mi ręki, tylko różaniec. Tak jakby dotknięcie drewnianych kuleczek miało wypędzić ze mnie diabła.

W moich papierach z dzieciństwa znalazłam niedawno wydruk z głosowania nad ustawą antyaborcyjną. Lista posłów: kto za, kto przeciw. Zatrzymałam ją na czas, gdy już będę pełnoletnia, by nigdy nie zagłosować na żadnego z “tych morderców dzieci”.

A teraz jestem tutaj.

Długą musiałam przejść drogę.

Drogę krzyżową: na jej kolejnych stacjach skazywano, chłostano i przybijano gwoździami do martwego drewna starożytnych reguł i romantycznych ułud kolejne życiorysy, kolejne osoby, żywych ludzi. Nieznajomych, znajomych i przyjaciół którzy, by uniknąć piekła – czy to wiekuistego, czy też doczesnego potępienia przez otoczenie – podejmowali wbrew sobie złe decyzje. Bo seks z narzeczoną to zbrodnia, bo kondom to narzędzie szatana, bo mężowi który bije i gwałci przysięgało się przed ołtarzem...

Niektórzy z tego wyszli, inni zaćpali się tym opium na śmierć.

Najczęściej na śmierć za życia, wegetację w toksycznych układach, popadając

w zgorzknienie i nienawiść do wszystkich, zwłaszcza do tych, którzy mieli odwagę żyć inaczej. Ale także i śmierć realną, jak ta dziewczyna z duszpasterstwa przy katedrze, która wykrwawiła się rodząc piąty raz. Jak ta „święta”, która odmówiła leczenia raka by nie zaryzykować ciąży, i osierociła trójkę maleńkich dzieci, zamiast żyć dla nich. Do takich decyzji chcą nas zmuszać, takie wzorce każą naśladować...

Oni są jak faryzeusze, o których Jezus mówił: „*Wiążą ciężary wielkie nie do uniesienia, i kładą je ludziom na ramiona, a palcem ich tknąć nie chcą*”. Leż obok żony w nocie płodnej, ale jej nawet nie dotknij! Urodź sześcioro! I wychowaj! Pozwól, by cię bił, jak wraca pijany! Urodź chore dziecko, zajmij się nim do końca życia, i umrzyj bez pewności, co z nim będzie dalej! Który z nich, żyjących wygodnie na plebanii czy w biskupiej rezydencji, chociaż raz w życiu powąchał pieluchę?

A te rozmodlone dziewczęta, a ci pryszczaci chłopcy na „marszach dla życia”? „Życia”??

Czy oni są gotowi obiecać: „Ja adoptuję twoje niepełnosprawne dziecko, poświęcę mu swoje życie, ty je tylko urodź”? Nie? Mówisz: „JA wierzę, że TY powinnaś poświęcić swoje ŻYCIE!”. Nie jesteś żadnym obrońcą. Tylko faryzeuszem.

„Rząd nie ciąży! Usunąć go można!” skandują zgromadzeni.

Transparent, flamastrem, na kartonie: „Nie jesteś kobietą. Nie jesteś ojcem. Zajmij się kotem”. Obok - portret Nadprezesa: „Kobiety mnie nie chciały, dlatego teraz za to zapłacą”.

Niedługo moje wystąpienie. Będzie go słuchał ojciec. Czy powiedzieć je tak, jak planowałam? Czy coś jednak zmienić, pominąć?

„Żądamy rzetelnej edukacji seksualnej w szkole!” - woła Bogna. ŻĄ-DA-MY! - krzyk tysięcy gardeł. „Żądamy dostępu do antykoncepcji!” - ŻĄ-DA-MY!

Plac Solidarności ma niezwykle kształt fali. Jego dwa przeciwległe końce wznoszą się w górę, tworząc jakby scenę i widownię. Jasne twarze nad czarnymi ubraniami

wyglądają jak krople piany na wzbierającej, zimnej, burej fali sztormu. Nad nimi, niczym żagle, napisy na kijach. „No women, no kraj”. „Skazana na Chazana”. „Oprócz macic mamy mózgi”.

„Nie chcę umierać za cudzą wiarę”...

W końcu i ja wchodzę na mównicę i biorę do ręki mikrofon.

Kochane Dziewczyny, Kochani Chłopcy - zaczynam. Mówiłam już na wiecach, ale nigdy jeszcze do tak wielu ludzi. A oni słuchają.

Sterylizacja - zabieg medycznie bezpieczny i dający praktycznie stuprocentowe zabezpieczenie antykoncepcyjne - jest w Polsce nielegalny. Jeżeli lekarz na życzenie pacjentki lub pacjenta zrobi taki zabieg, grozi mu 10 lat więzienia, z tego samego paragrafu co wybicie oka w czasie bójki - ciężkie uszkodzenie ciała.

Słyszę swój głos, zwielokrotniony echem od wzniesienia naprzeciwko mnie. Moje własne słowa, odbite od tysięcy twarzy, tysięcy głów, setek transparentów. Wracają z jakąś przedziwną siłą, czuję wzbierającą we mnie niezwykłą energię.

I decyzję. Powiem wszystko.

Doktorzy odmawiają zabiegów leczniczych, których skutkiem ubocznym może być bezpłodność. Pacjentka mająca guzy szyjki macicy, które trzeba usunąć, słyszy od lekarza: „pani NIE WOLNO tego robić, bo pani jeszcze może rodzić”. Nie wolno? On jej mówi co jej wolno, w celu ratowania własnego zdrowia i życia?

Ja, będąc matką dziecka specjalnej troski, które ma nieuleczalną, genetyczną dysfunkcję, na sterylizację musiałam pojechać do Niemiec!

O tym mój ojciec, ani moja matka też nie wiedzą. Drugi coming out w ciągu jednej godziny.

Słuchajcie, Prenzlau, 60 km stąd - inny świat. Tam nikt nie pytał: „A czy ma pani dzieci?

A ile? A może jeszcze to przemyślisz? A jeśli będziesz kiedyś żałować?”

Dlaczego ciągle ktoś próbuje uszczęśliwiać nas na siłę!?

*Dlaczego nam się WMAWIA, że na decyzje dotyczące naszego życia jesteśmy
ZA GŁUPIE?*

- Tak! Racja! Prawda!- słyszę.

*Dlaczego kraj, dla którego pracujemy, płacimy podatki i ZUSy, rodzimy dzieci,
traktuje nas jak osoby ubezwłasnowolnione?*

*Nikt nie poniesie konsekwencji decyzji, do których nas zmuszają, tylko MY! Jeśli
urodę drugie dziecko i ono również będzie niepełnosprawne, to kto będzie ten
ciężar dźwigał? JA! JA!!!!*

*Żaden proboszcz - krzyczę - żaden biskup, żaden poseł, żaden prezes, żaden „ludzki
pan”, żadna atrapa, pełniąca obowiązki premiera!*

NIKT ZA NAS NASZEGO ŻYCIA NIE PRZEŻYJE!

*Dlatego to my mamy prawo decydować! Nie jakiś bezdzietny staruch w garniturze
lub sutannie, mieszkający w pałacu lub w willi na Żoliborzu.*

Patrzę na wprost, na ludzi. Nie na ojca. Nie wiem, jakie ma oczy w chwili, gdy mówię
co myślę o jego adorowanym Führerze. O niemiłosiernych funkcjonariuszach jego
miłosiernego Boga. Boga, którego on i jego partyjni koledzy mają na ustach, ale
w rękach kamienie, którymi najchętniej kamienowaliby takie wiedźmy jak my.

Wolność jest najwyższą wartością.

Wolność, czyli żyję tak jak ja chcę.

O tym co mnie dotyczy, decyduję ja!

NIC O NAS BEZ NAS!

NIC O NAS BEZ NAS!- podchwytyją tysiące gardeł. NIC O NAS BEZ NAS!!!

Podchodzi do mnie czarnowłosa dziewczyna z dużym transparentem, tym o mózgach.
W oczach ma łzy. „Dziękuję ci za to co mówiłaś. Bo to jest moja historia. Mnie też
nie chcą operować. Lekarz wyrzucił mnie z gabinetu. A miałam torbiel wypełnioną
litrem krwi. Mogłam umrzeć w każdej chwili. Nadal mogę. Ich to nie obchodzi. Albo
mówią że to moje fanaberie, albo że nie chcą iść do kryminału. Spoza macicy nie
widzą człowieka.

Dziękuję ci, że o tym powiedziałaś”.

Patrzę na nią zrozpaczona, bo nie wiem jak jej pomóc. Na taką operację nie da się chyba pojechać do Niemiec. Z drugiej strony czuję, że skoro chociaż jednej osobie dałam w jakiś sposób siłę, to moje wystąpienie miało sens. Moje odstonięcie się przed szpiegiem Partii miało sens. Przytulam czarnowłosą. Łzy lecą mi po twarzy. Wiatr szarpie moją tęczową flagą.

Tęcza jest także znakiem nadziei.

Ostatnia siła, w jakiej jeszcze ją widzę, to kobiety. Rząd nie cofnął się przed nikim i niczym. Wielotysięczne manifestacje w obronie konstytucji czy mediów rozbiły się o ich butę jak fala o betonowy słup. Opinie instytucji unijnych czy międzynarodowych mają gdzieś. Jedyny krok wstecz, jaki zrobili, to pod naciskiem kobiet.

Nadzieja ma twarz tysięcy kobiet, ich smutnych, zmęczonych oczu, ich zaciśniętych, uszminkowanych ust.

Polska jest kobietą.

Jeszcze nie zginęła, póki my...

Mój ojciec wychodzi ze zgromadzenia. Czyli, gdy za jakąś godzinę pojedę do nich po syna, będzie tam.

I nagle poczułam ulgę. Jakby spadł ze mnie jakiś ciężar. Jakby znikł strach. Nie boję się już.

Żeby pomóc innym walczyć o ich prawa muszę je najpierw przyznać sobie, także przed najsurowszymi, ale bezprawnymi sędziami, jakimi są rodzice.

Może więc w końcu warto się wyoutować przed nimi. Może warto w końcu dorosnąć, mając 40 lat.

KATARZYNA KRZYSZTOFIK

POLACY, DLACZEGO NIE JESTEŚCIE ZA ŻYCIEM?

Stoję na szpitalnym korytarzu już 40 minut. Z lewej windy, z prawej wejście na blok operacyjny. Zimno mi w stopy, mam tylko japonki. Przywiozła mi je mama, kiedy się dowiedziała, że krwawię. Szybko spakowała szlafrok i inne szpitalne duperele. Myślała, że wiezie mi je na czas pobytu na podtrzymaniu ciąży. Stoimy wszystkie, sześć bab, bo wszystkie łożeczkowania pielęgniarka zwołała rano na korytarz i zawiozła pod zabiegowy. I zostawiła. Stoję tylko 40 minut, bo wchodzę druga. Gabinet, fotel, pod fotelem żółte wiadro. Sporo ludzi, lekarze, „rozebrać się i siadać” rzucone w przestrzeń nad moją głową. Boso i z gołym tyłkiem siadam na fotelu. Kiedy się obudzę po narkozie, będę już na sali pooperacyjnej. Nie dowiem się nigdy, co się stało z moimi japonkami i szlafrokiem, który przywiozła mi mama. Ani z zawartością żółtego wiaderka.

Gdybym sama chciała pozbyć się dwunastotygodniowego płodu, byłabym morderczynią dzieci. Kiedy płód zmarł sam, nie byłam matką, która straciła dziecko. Byłam łożeczkowaniem na czwartek.

Widzę zdjęcie z protestu przeciwko in vitro. Na transparentach Kasia, Maciuś, Franuś, którzy chcą żyć. A są zamrożeni. Zastanawiam się, dlaczego ci obrońcy życia nie pojawili się pod Sejmem, kiedy matki niepełnosprawnej Zosi, Krzysia i Waldka walczyły o godne życie dla nich? Życie to nie tylko oddychanie i bijące

serce. To godność, radość, obecność drugiego człowieka, spełnienie, satysfakcja i samorealizacja. Tak samo potrzebna Kasi z zespołem Downa jak Kasi z korporacji. Co za życie czeka Kasię oddaną po urodzeniu do domu dziecka, a po skończeniu 18. roku życia do Domu Opieki Społecznej, gdzie przeżyje do końca swoich dni pomiędzy staruszkami? Co to za samorealizacja, gdy wszyscy niepełnosprawni pozwożeni z całej gminy siedzą i malują witraże na zmianę z lepieniem z gliny, nieważne, czy mają zdrową głowę, a chore nogi czy na odwrót? Pamiętam te integracyjne imprezy, gdzie poza rodzinami niepełnosprawnych była tylko delegacja z Urzędu Miasta. Pamiętam wzrok ludzi zawieszony na mojej upośledzonej siostrze ze mną w tramwaju, kawiarni, klubie, kinie. Śmiać mi się chce, kiedy sobie wyobrażę tych oburzonych dziećmi hałasującymi w restauracji. Gdyby im dołożyć brzydkie, powykręcane dziecko na wózek, które się ślini? Nie bójcie się, rodziców (samotnych matek) tych dzieci i tak nie stać na wasze restauracje.

Jadę z ośmiomiesięcznym ciążowym brzuchem i wózkiem ze śpiącą trzylatką przez całe miasto. 3 przesiadki. Nikt się nie zainteresuje. Nikt nie pomoże. No, chyba że zastawię wózek przejście, wtedy na pewno ktoś zauważy. Zapewne gdybym miała w rękę fajkę i szła chwiejnym krokiem, też pies z kulawą nogą by się nie obejrzał. Moje życie, no nie? Gdybym tę trzylatkę postawiła na nogi szarpnięciem i epitetem? Tym bardziej. To dlaczego nagle wszyscy się interesują, gdy chcę zrobić badania prenatalne?

Polacy, dlaczego nie jesteście pro-life? Dlaczego walka kończy się dla was po tamtej stronie czyjegoś brzucha? Powiedzmy sobie szczerze, przeszkadzają wam bachory. Nic was nie obchodzi krzyki za ścianą. Wózki dziecięce rozpychają wam się po chodnikach. Niepełnosprawni obrzydząją. Ciężarne wkurwiają. Matki na macierzyńskim kolą w oczy swoim lenistwem i cwaniactwem.

A nagle, nie wiem doprawdy dlaczego, zaczęło wam się wydawać, że wystarczy pomachać transparentem i jesteście PRO?

ANONIM

BY INNE NIE MUSIAŁY KŁAMAĆ

Mój Czarny Protest ma 16 lat, brązowe, lekko kręcone włosy. Codziennie przed wyjściem do szkoły mówi, że mnie kocha. Ja też go kocham. Moja krew, moje geny. Część tej puli należy jednak do kogoś obcego. Moje dziecko nie zostało poczęte z miłości.

Idę w Czarnym Proteście, z oczu płyną mi łzy. Na nowo przeżywam traumę sprzed kilkunastu lat. Wciąż we mnie siedzi. Czas sprawił, że na nowo nauczyłam się żyć. Musiałam. Siedemnaście lat temu nagle zgasła we mnie chęć do życia. Dziesięć minut i wszystko wywróciło się do góry nogami. Wyparowała radość, ciekawość świata, oczekiwania i ambicje. Fizycznie przeżyłam, ale czułam, że rany duszy ciągną mnie w dół. Psychiczne okaleczenia goją się dłużej niż te na ciele.

O tym, co wydarzyło się pewnego zimowego wieczora musiałam opowiadać na policji i w szpitalu. Musiałam poddać się badaniu. Musiałam czekać, by w końcu zmyć z siebie cały brud i zapach obcego ciała, intruza. Po nocy osamotnienia w kolejnych państwowych instytucjach w końcu trafiłam do domu, gdzie dwie godziny spędziłam pod prysznicem. Paznokciami próbowałam zdrapać z siebie niewidzialną warstwę. Nie pomagało, wciąż czułam się brudna. Moje ciało było całe czerwone, poranione i stare, chociaż miałam dwadzieścia kilka lat. Byłam studentką, która przeżyła coś, czego nie powinna przeżywać kobieta. Żadna.

Kolejne miesiące przetrwałam w półśnie. Leżałam na łóżku, wydając dziwne dźwięki, zobojętniała na wiosnę, która zawitała za oknem. Ciągle spałam. Brałam leki. Otępiały mnie, ale pozwalały jakoś wegetować.

Po kilku miesiącach zostałam brutalnie wyrwana z letargu. Byłam w ciąży.

Nie mogłam uwierzyć, że ten koszmar ma nadal trwać. W szpitalu mówiono mi przecież, że w wyniku gwałtu rzadko zachodzi się w ciążę, że organizm instynktownie odrzuca taką możliwość. Dano mi wtedy dużo różnych pastylek, ale okazało się, że żadna nie była antykoncepcją awaryjną.

Doznałam ataku paniki. Czułam, że się duszę. Słyszałam własne serce, bijące jak szalone. Rodzice wezwali pogotowie. Dostałam zastrzyk. Zasnęłam.

Wiedziałam, że muszę pozbyć się „tego” jak najszybciej, bo nigdy nie powrócę do świata żywych. Zaczęły się wizyty u kolejnych lekarzy, stanie w kolejkach, odsyłanie od szpitala do szpitala. Czas leciał. Próbowano nawet podważyć moją wiarygodność, udowodnić, że pewnie sama chciałam, a teraz chcę pozbyć się problemu, by nadal wieść beztroskie, studenckie życie. Wysłano mnie do psychologa, który stwierdził, że aborcja będzie dla mnie kolejną traumą i mi nie pomoże. Żaden szpital nie chciał wziąć odpowiedzialności. Odsyłano mnie z kwitkiem i miną mówiącą, że „takich par nie obsługujemy”. Czas mijał, traciłam siły do walki. W końcu było za późno.

Moja ciąża nie była błogosławieństwem ani cudem. Była strachem i niepokojem, wyrzutami sumienia, bólem i rozpaczą. Nie przechadzałam się po sklepach kompletując wyprawkę, ani nie zastanawiałam się nad płcią i imieniem dla dziecka. Nie myślałam o nim jako o dziecku, moim dziecku. Dla mnie to było „coś”, czego chciałam się pozbyć jak najszybciej. Ruchy płodu budziły we mnie złość.

Choć wizja porodu mnie przerażała, jednocześnie nie mogłam się go doczekać, by wyrzucić z siebie ostatnią pozostałość seksualnej przemocy, jakiej na mnie dokonano. Wyrzucić i oddać do adopcji, taki był plan. Wyrzucić i zapomnieć. Wrócić

na zawieszono studia, ale już do innego miasta, gdzie dla studenckiej braci mogłabym stać się znowu jedną ze studentek, a nie kobietą z historią, kimś, kogo lepiej unikać, bo nie wiadomo co mu powiedzieć.

Poród był katorgą i trwał kilkanaście godzin. To „coś” nie chciało opuścić mojego ciała. Wiem od położnej, że w jego trakcie krzyczałam w bólu: „Zabieeerzcieeee to!”. Zakończyło się cesarką. Potem pielęgniarka, nieświadoma planowanego oddania go do adopcji, przyniosła mi syna i położyła go na mnie. Popatrzyłam na niego, raz, drugi, dotknęłam małej rączki, zobaczyłam w jego oczach moje własne. Wiedziałam już, że zostanie ze mną. Moi rodzice byli zaskoczeni, ja też, ale zrodziło się we mnie coś, jakaś emocja, która sprawiła, że zaczęłam myśleć o moim dziecku jakby miało tylko jednego rodzica, mnie. Myślę, że była podświadoma reakcja obronna. Musiałam odciąć się od przemocy seksualnej, od roli ofiary.

W szpitalu powiedziano mi później, że 70% kobiet noszących ciążę z gwałtu nie decyduje się na aborcję. Nie ufałam już szpitalom. Nie chciałam słuchać kolejnych zdroworozsądkowych opinii i dobrych rad. Wpadłam w wir pracy przy niemowlaku, ciągłego niewyspania, zmęczenia. W pewien sposób mi to pomogło; przestałam myśleć o tym, co się wydarzyło się niespełna rok wcześniej.

Wychowałam dziecko, które w dokumentach ma wpisane „ojciec nieznany”. Kocham syna ponad wszystko i stoję w Czarnym Marszu, bo uważam, że kobieta musi mieć wybór. To jej ciało, jej świątynia i nikt inny nie powinien za nią decydować. Ciąża i poród nie były moją decyzją, a to, że wychowałam dziecko gwałticiela i dziś oddałabym za mojego syna nawet życie, nie sprawia, że uważam, że to było dobre. Odebrano mi podstawowe prawo do samostanowienia. Moje ciało potraktowano jak przedmiot.

Biorąc udział w marszu, protestuję przeciw traktowaniu kobiet przedmiotowo. Każda z nas jest podmiotem i należy do samej siebie. Pomysł jednego z postów, aby wypłacać „gwałcikowe”, czyli cztery tysiące złotych za taką decyzję jak moja uważam za blamaż. Nie chodzi o kwotę. Moja historia, wbrew pozorom, nie ma „happy

endu". Moje życie, już do śmierci, to trwanie w kłamstwie. Syn nigdy się nie dowie prawdy o własnym pochodzeniu. Dopytywał nie raz. Powiedziałam mu tylko, że z jego ojcem byłam związana krótko i choć związek się zakończył, to byłam wówczas bardzo szczęśliwa. Mówiąc to, musiałam opanować spazm, który wstrząsnął ciałem. Brzydę się tego kłamstwa, lecz mój syn nie zasługuje na gorzką prawdę.

IZABELA SMĘTEK

JESTEM INTROWERTYCZKĄ I POSZŁAM NA MANIFESTACJĘ

Jestem introwertyczką. Piszę komentarze w internecie, udostępniam posty na facebooku licząc na to, że przekonam nieprzekonanych spośród znajomych. Głównie to osoby ze studiów albo koledzy i koleżanki mojego partnera. Milczę na co dzień, dopóki mogę, bo nauczyłam się już, że moje argumenty do niektórych ludzi nie trafiają, bo jestem kobietą. Do innych zaś – bo i tak są przekonani o swojej racji.

Jestem introwertyczką. Pamiętam nasze pierwsze ogniste dyskusje z partnerem. Potrafię godzinami dyskutować i wywodzić racje, kontrować argumenty. Ale rzadko to robię, tylko z oswojonymi ludźmi. Emocje we mnie buzują, mam łzy w oczach, całe moje ciało mówi mi zawsze: *wolę pisać, wolę pisać, wolę pisać*. Ale wtedy, dyskutując z nim, podnosiłam głos i wygłaszałam swoje racje. Mówiłam o rzeczach, o których nie miał pojęcia.

Jak to jest iść ulicą i bać się, i wiedzieć, że połowa mijanych osób jest ode mnie silniejsza, że mogą mi coś zrobić i nic ich nie powstrzyma. Jak to jest myśleć, gdzie można iść i jak ubrać, i o której. Jak to jest mieć dwa komplety ubrań: te do autobusu (luźne spodnie albo dżinsy, swetry oversize) i te na pozostałe dni (sukienki, zakolanówki, dekolt, czarne i różowe; czuję się dobrze, dopóki ktoś nie zmierzy mnie wzrokiem jak tuszę w mięsny albo jakbym co najmniej już zaproponowała dziki seks). Jak to jest, kiedy wychodzę z autobusu dalszym wyjściem, bo przy tym bliższym stoi kilku mężczyzn, rozochoconych ciepłą pogodą i ciepłym piwem. Jaki to jest ból, kiedy żegnam się wtedy z koleżanką i rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie, widząc, że wychodzę naokoło. Nic nie musimy mówić, bo ona *wie*.

Jak to jest nie ogolić nóg, bo przecież nie trzeba, ale potem bać się, co sobie ktoś o mnie pomyśli. Jak to jest mieć problemy z jedzeniem, bo może teraz jeszcze, *ledwie-ledwie*, mieszczę się w standardzie piękna, *ale już za chwilę znów będę gruba i brzydka*.

Jak to jest na studiach od doktora dowiedzieć się, że kobiety nawet banana jedzą źle i biologicznie mają uwarunkowany mózg tak, by być gorszymi z matmy. Ale chłopcy też nie mają lekko, *przecież chłopcy często mają bardzo brzydkie pismo*. Jak to jest rozmawiać z grupą o problemie molestowania i toksycznych związków, i usłyszeć, że *jak jest taka głupia, to jej wina*, oraz *ja na jej miejscu bym zgłosiła, odeszła! Przecież musimy myśleć o dzieciach*.

Jak to było, kiedy z przymusu chodziłam jeszcze na katechezy i zadeklarowałam, że pójdę na Marsz Równości, a kolega z klasy, dwie ławki dalej, zadeklarował, że też pójdzie. Z kijem bejsbolowym pobić uczestników. Jak to było, kiedy ksiądz nie zareagował, *to żarty, przechodzimy do lekcji*.

Jak to było, kiedy pierwszy raz poszłam na trening krav magi i mężczyzna podał mi rękę jak równemu sobie. Jak to było na słowa *ja dziewczyny nie uderzę!* dać nowemu trenującemu porządny wycisk. Jak to było się nie bać.

Jak to było mieć dwanaście lat i płakać z bólu miesięczkowego. Jaka to była ulga, kiedy hormony z tabletek sprawiły, że mogłam wstać, że *prawie* nie bolało. Jak to jest spierać krew z prześcieradła i z majtek. Jak to jest, kiedy chce ci się rzygać ze strachu, z obrzydzenia, *spóźnia się, spóźnia, czy coś jest nie tak...* I jak to jest, kiedy jednak *tylko* się spóźnił i przyszedł, jaka to jest ulga.

Jestem introwertyczką. Opowiedziałam, wyplakałam i wykrzyczałam mu wszystko, cały ból i strach, i wściekłość, całą niesprawiedliwość, całą tę obcą mu rzeczywistość. Zrozumiał.

Jest synem swego ojca, synem seksizmu, tradycyjnej rodziny, małomiasteczkowości. I jestem z niego dumna. Że jest na świecie jedna osoba, którą moje argumenty przekonały, moja historia poruszyła, zmieniła coś, otworzyła.

Jest synem patriarchy. Nie potrafi okazywać emocji. Okaleczone dziecko w dorosłym. Nie potrafi mówić o uczuciach, niemożliwie powoli uczy się czułych gestów. Mężczyzna ma być przecież twardy, tak? Ma mieć dom i dzieci, dobry samochód i pracę. Bo inaczej to co? *Cipcia, pedał*.

Jestem introwertyczką. Nie jestem nieśmiała. Potrafię się klócić i zabrać głos niepytana, chociaż ojciec nigdy tego nie pochwałał. Mówił: wydaje ci się, że już wszystko wiesz. Dzieci mają siedzieć cicho. Jesteś roszczeniowa. A ja tylko wiem, czego chcę. Czego

nie chcę. Czego sobie nie życzę, a co mi się należy. I sięgam po to, domagam się tego, wyśmiewam tych, co wyśmiewają mnie. Jestem dumna z tego, kim jestem, na kogo wyrosłam. Wciąż nie mam odwagi powiedzieć rodzicom: *wiecie co, nie, nie macie racji, nie muszą siedzieć cicho. I jestem fajną osobą. Fajną córką.* Wolę pisać. Szokuje mnie brak empatii w ludziach. Mówię im: *to jest dowód anegdotyczny, to jest argument ad personam, korelacja to nie kauzacja.* Dla nich to jakbym mówiła: *jestem głupia, masz rację, nie mam kontrargumentów.*

Wciąż się boję. Tego, co wszystkie: śmierci, niechcianej ciąży, odebrania praw, stracenia ukochanej osoby. Boję się, że ktoś mnie uderzy, jeśli pójdę na marsz lub manifestację. Boję się, że będę w sklepie czy na ulicy i ktoś złapie mnie za tyłek, za cycki, i odejdzie, jak gdyby nigdy nic, a ja nie zdążę nic z tym zrobić, boję się, że będę zbyt zszokowana i zaskoczona. Boję się chodzić w nocy do sklepu osiedlowego. Boję się, że w czasie dyskusji na żywo zapomnę argumentów, zabraknie mi odpowiedzi i ktoś uzna, że wygrał, *te feministki to są jednak tępe*, no bo przecież *czego innego spodziewać się po kobiecie.* Kiedy się denerwuję, mój głos robi się piskliwy, *histeryczka.*

Jestem introwertyczką jak moja mama. Z tym, że ja mówię dużo, ona – mało. Ona nie wyraża poglądów na głos, ona milczy, kiedy inni je wyrażają. Jestem prawie w jej wieku, kiedy zaszła ze mną w ciążę. Gdybym była w jej sytuacji – lat dwadzieścia jeden i wypadka – nie postąpiłabym jak ona. Szukałabym, pisała, zbierała pieniądze na wycieczkę do Czech czy na Słowację. Może coś bym zwiedziła po drodze, *już po.* Nie powiedziałabym mamie. Jest katoliczką. Nie popiera aborcji. Popiera rozsądek, może sprawiedliwość, może wybór, pełne prawa. Nie wiem, nie powiedziała mi. Ona nie jest buntowniczką, ja tak.

Zapytała mnie po prostu: *idziesz?* Poszłyśmy. Chciałam jej dać przypinkę, ale nie chciała. Sama je zrobiłam, noszę do teraz: macica pokazuje środkowy palec i druga, *czarny protest.* Krótka i dobitnie. Nie zawsze trzeba dużo mówić.

Gdyby nie ona, to nie wiem, czy bym poszła. Bałam się. Bałam się tego kolegi z klasy, z kijem bejsbolowym, chociaż to było cztery lata temu, cztery lata treningów temu. Bałam się rac i zamieszek. Bałam się, że *przyjdą* i nam zagrożą. Bałam się, że nikt z nas nie przyjdzie. Że nas wyśmieją.

Ale mama poszła. Poszłam i ja. Nie wiem, czy żeby ją obronić, czy żeby być z niej dumną, czy żeby po prostu być. Ale poszłam, bo to było słuszne. Była moja przyjaciółka, też z mamą. Padał deszcz. To była nasza pierwsza manifestacja, nas wszystkich. Stałyśmy na placu – kilkaset osób, nie największe miasto Śląska – z parasolami. Podawałyśmy sobie w wielkim kole baner. Widziałam kilka znajomych twarzy. Uśmiechnęłam się, słysząc skandowane po śląsku hasła. Moja mała ojczyzna, jedyna, której jestem wdzięczna.

Dużo osób opowiadało przez mikrofon, co czują, co myślą, przeciw czemu się buntują. Chciałam im powiedzieć i ja:

nie bójcie się być wkurwione. Nie wstyďte się być wkurwione. Niech to oni się boją.

Ale jestem introwertyczką. Stałyśmy, otoczone innymi kobietami, otoczone czernią jak zbroją, jakbyśmy wszystkie były jednym organizmem, jednym wkurwionym organizmem, organizmem, który mówił: *nie dam się. Bez walki mnie nie weźmiecie.*

To było dobre. Nikt się nam nie postawił. Byłyśmy siłą, śpiewałyśmy piosenkę. Po raz pierwszy w życiu otaczali mnie ludzie mi podobni, myślący jak ja, czujący jak ja. Zgadzałyśmy się.

Poszłyśmy potem na targ. Moja mama kupowała rybę. Zaczepiła ją starsza pani – mogłaby być moją babcią – *przepraszam, ale czy dużo nas było?* Odpowiedziałyśmy, że tak, dużo, byłyśmy siłą. *To dobrze. Ja nie mogłam być, musiałam wnuki odebrać. Ale chciałam, duchem byłam.* Była ubrana na czarno, niższa ode mnie i uśmiechnięta. I też była siłą.

To był ten moment, kiedy poczułam, że tak, to jest dobre, to ma sens, to jest tego warte. Żeby być introwertyczką i wyjść z domu. Mimo strachu. Wyjść. Na chwilę. Wkurwić się. Moi rodzice mówili mi: *nie możesz tak się wszystkim w życiu przejmować, tak angażować, tak się nie da żyć.* A ten dzień uświadomił mi: mogę. Muszę. Inaczej się nie da, inaczej nie można, tak trzeba. Miałam łzy w oczach i gęsią skórę na rękach, żołądek mi się skręcał – z niepewności, ze strachu, z ekscytacji i poczucia słuszności. Poczucia, że oto dzieje się coś doniosłego.

Cokolwiek by się potem nie wydarzyło: poczułam, że należę, nie jestem sama. Że jestem częścią wspólnoty. Że jesteśmy solidarne.

Nie byłam w ten dzień na studiach, ale dostałam usprawiedliwienie. Chłopcy też chcieli być w ten dzień zwolnieni, bo przecież *musi być sprawiedliwie.* Jako odpowiedź dostali informację od dyrektorki, że jeśli wyślą zdjęcie z protestu, to dostaną usprawiedliwienie. Nigdy nie byłam bardziej dumna ze swoich studiów.

Byłam. Na Marszu ósmego marca też byłam. Byliśmy siłą. Byliśmy masą. Było zimno i głośno, zalaliśmy tłumem garstkę kontrmanifestacji z rozczłonkowanym płodem na banerze. Byłam sobą. Bez strachu. Z dumą.

Jestem introwertyczką i poszłam na manifestację. I będę chodzić do skutku.

OLGA ŻMIJEWSKA

SEX & THE CITY 2016

„Że się, proszę pana, bawimy, tak?”

„I to jak, panie ministrze. I to jak!”

Najlepiej bawiły się te, które szły obok Batucady, ale po kolei.

Rano przed wyjściem jeszcze szybka wymiana wiadomości, ostatnie szlify uzgodnień z Siostrami. Na facebooku jakiś młody ojciec smaży racuchy. Potem - rach-ciach - herbata do termosu i nieco nieprzyzwoite zdjęcie wysłane do Sióstr w Niemczech i na południu Polski.

Brak ich tutaj!

Praga Południe jak na złość i jak nigdy kolorowa tego rana. Najwięcej Czarnych Sióstr w centrum, ale pamiętajmy, że to dopiero 9:45! Pod siedzibą PiS-u już spory tłum. O, jest ten młody ojciec z dziećmi, żoną i garnkiem pełnym racuchów. Ekipa niemieckiej telewizji publicznej ARD ich uwielbia.

Tłum skanduje: „panie prezesie, niestety, ten rząd obalą kobiety!”

11:15- Pl. Defilad, Agnieszka Graff czyta fragmenty swoich tekstów.

Są mocne, a większość jej prognoz się niestety sprawdziła.

Trzymamy się za ręce i tworzymy wielki krąg kobiet.

Poruszający moment.

Policja zgrabnie zgarnia jakiegoś intruza.

12:15 - ruszamy w miasto, a konkretnie do siedziby Kongresu Kobiet przy Placu Zbawiciela. Czeka nas tam ciepłe powitanie po Letniej Akademii Kongresu Kobiet. Za chwilę płyną do mnie pierwsze informacje ze Strasburga, gdzie współuczestniczka ostatniej Letniej Akademii Katarzyna Wenta-Mielcarek zorganizowała protest pod katedrą. To dzień rozpoczęcia sesji plenarnej Parlamentu Europejskiego i niektórzy polscy posłowie zwolnili swoje pracownice z obowiązków, aby mogły protestować. Pod katedrą jest też młody doradca jednego z europosłów. Dzięki Twitterowi na bieżąco mamy zdjęcia, a nawet filmik!

Ach, ci młodzi mężczyźni!

13:30- „To gdzie na lancz?”

Uzgadniamy, że tam gdzie dużo, dobrze i dają wiśniówkę po obiedzie, czyli do Berka przy Jasnej.

14:30- uuups, miałyśmy być w Białym Koniczku i robić transparenty, ale w Berku takie czarne tłumy, że jest obsuwa. Szybciutko biegniemy na Kredytową. Po drodze wstępujemy do klubu Miłość, gdzie *dla każdej kobiety czarna kawa za darmo* (i nie tylko tam!!!)

Z Krakowskiego Przedmieścia już słychać tęgi huk.

Ladies robią trochę więcej niż *some noise*.

Schodzą się zewsząd.

Pada!

Słychać wycie syren.

Atmosfera iście apokaliptyczna.

15:00 – Bar Bily Konicek w gmachu Muzeum Etnograficznego przemianowany na Czarnego Koniczka. Siostry kończą plakat. Są między innymi Tanna Jakubowicz-Mount i sex coach Karo Akabal. No tak, gdzie sex coach, jak nie tutaj?

Przy kościele Św. Anny pozdrawiamy naszych Braci W Sukienkach.

Kochani, też się solidaryzują i tylko koloratkę mieli białą.

Kiedy już na dobre się rozpadało, a my stoimy pod Zygmuntem, pisze Foxy, która nie mogła być z nami: „Dużo Was jest?”

Niezawodna YoJo! odpala, że „jest nas wulgarny liczebnik niepoliczalny: W *&^^!”
Z Niemiec pisze Holly, nasz nadworny doradca politologiczny. Kiedyś w Liberii mądra Siostra zainicjowała strajk seksualny i dostała za to Nobla.

Alright, girl. Myślę, że to całkiem dobra okazja.

W sumie, to by rozwiązało cały kłopot.

16:45 - w deszczu przedzieramy się przez tłum i idziemy do YoJo! podładować telefony i napić się herbaty. Masy sączą się aż do opery, policja kieruje ruchem, karetki przedzierają się przez rzekę ludzi. Coraz mocniej pada.

17:30- wracamy na finał- cisza. Co jest???

Wszyscy się rozeszli, pełna konsternacja.

17:45- YoJo! jedzie na drugą stronę Wisły.

Ja dostaję SMS-a od Macieja, że idzie obok zespołu bębniarskiego Batucada.

No dobra, panie ministrze. Niech się bawią, ale – na Boga- ja z nimi!

Doganiam ich tam, gdzie „Kopernik była kobietą”, czyli na wysokości budynku Polskiej Akademii Nauk, róg Nowego Świata i Świętokrzyskiej.

Środkiem ulicy idziemy pod sejm. Przy Alejach Ujazdowskich starsi panowie na balkonach tańczą do dźwięków bębnów i machają do nas.

Centrum stoi cierpliwie.

Kobiety dźwięcznie śpiewają „Moja broszka - moja sprawa. Nie - prezesa Jarosława”.

To miasto być może nigdy nie widziało na raz tylu *brzydkich* słów i schematycznych rysunków żeńskiego układu płciowego.

Sex & the city

PiS & the pussy

W warszawskiego deszczu strugach przemarsz generuje hałas i totalny paraliż centrum.

Pod sejmem bębny rozhulały już porządną imprezę.

Hektolitry deszczu na betonie i zabawa prima: joy, peace & pussy.

Żadnych chamskich wybryków, nikt nikogo nie obraża.

18:30 - wracamy. Nie mieścimy się na chodnikach, wylewamy się na Pl. 3 Krzyży - między samochody - i idziemy dalej ulicą. Plac stoi, rondo stoi, tramwaje stoją.

Dopiero za Rondem de Gaulle'a policja próbuje to opanować.

Yeah!

Ja mam spotkanie po latach i idę do Menory przy Pl. Grzybowski, ale tam strajk i ciemno.

W budynku Teatru Żydowskiego jest nowa knajpa, wchodzę, składam parasol: włos mokry, suknia plugawa.

Uff. Barszcz ukraiński, jazz, hummus i bibuła.

20:00 Spotkanie Po Latach utknęło na lotnisku, bo paraliz miasta trwa.

Geez & jazz!

No i co, panowie

Bohema,

panowie

macicy - o - nie mam?!

A to była przecież tylko zabawa.

MARIA TROJANOWICZ KASPRZAK

PROTESTOWE ROZTERKI...

Bim! Komputer sygnalizuje nową wiadomość. To na Dziewuchach informacja, że kolejny protest przed nami. Uśpione już po poprzedniej manifestacji wątpliwości budzą się na nowo.

- I na co ci to?- przemawia rozsądek. – Zostaw młodym protesty. Jak się ma siódmy krzyżyk na karku masz prawo do ciepłego pledzika, książki i kota u boku.

Niby tak. Żadna z Dziewuch marnego słowa nie powie, gdy mnie na proteście nie będzie. Ale... Właściwie ja jedna mogę. Ja jedna nie mam nic do stracenia. Jeśli nie ja, to od nas nie będzie nikogo. Córka na drugim końcu świata, synowa drży o pracę i co prawda nie próbuje mnie powstrzymywać, ale sama się nie wrywa. Wnuczka ma dziesięć lat i polityka – na szczęście – jest jej obca. Zostaję ja.

- Nie, to bez sensu – kolejna fala buntu dochodzi do głosu. Po co mi to? Mam swego bloga, emeryturę i te koty... Podpisałam umowę na nowe książeczki dla dzieciaków. O! Właśnie! Mam obowiązek. Trzeba przysiąść fałdów przed klawiaturą. Nie będzie mnie, będą inne, młodsze. Obejrzę ten zryw w telewizji – postanawiam.

- Kurczę, ale przecież na zebranie mogę się przejść, co mi tam. Zobaczą co planują. Ten przepływ energii, gdy grupa gorączkowo szuka pomysłów, gdy ludzie przekonują się, spierają. To lepsze niż spa. To znaczy wyobrażam sobie, że lepsze, nie byłam... No, dobra, to nic nie kosztuje, na zebranie zajrzę.

W pomieszczeniu tym razem wyjątkowo tłumnie. Większość twarzy znam, kilkoro nieznajomych przedstawia się. Może zapamiętam. B. – jak zwykle pełna energii – z błyskiem w oku referuje ustalenia.

- Magda zapewnia nagłośnienie, Wiktoria poprowadzi zbiórkę na Dom Samotnej Matki w Policach, mamy bębny i szczudlarki. Będzie grupa, która zaśpiewa Pieśń Czarownic... Hasła i transparenty też mamy. Ludzie z pewnością doniosą swoje. Co by tu jeszcze...

Odzywa się młody człowiek. Mówi z namysłem, widać, że idea rodzi się na poczekaniu.

- Mam taką belę papieru, ze sześćdziesiąt metrów tego będzie... Gdyby tę belę ułożyć... Na stołach, na deskach... Można by umożliwić ludziom spisywanie na gorąco wrażeń, emocji, życzeń...

Niemal wyczuwalna fizycznie iskra przeskakuje między obecnymi. Padają szybkie podpowiedzi:

- To by mogło tworzyć gazetę...

- Poproszę chłopaków, nadrukują zdjęcia z poprzednich protestów...

- Mam! Głos Suwerena! Mamy tytuł!

- Dobra, ten tytuł chłopaki nadrukują także...

- Markery! Trzeba przygotować dużo markerów. Ludzie się wpiszą między tymi fotografiami...

Głosy cichną, emocje opadają chwilowo. Ludzie robią notatki. Gospodarze przynoszą kolejne kubki z gorącą herbatą.

Coś mi przychodzi do głowy.

- Pamiętacie, jakie fantastyczne wrażenie robiły te czerwone karty, które tłum jednocześnie podniósł w górę na poprzednim proteście? Wtedy to była czerwona kartka dla rządzących, a gdyby im teraz wystawić oceny? Jasna sprawa, że byłyby to jedyńki...

Pomysł przechodzi. Jasny gwint! I po co mi to? Trzeba te jedyńki wydrukować. Moja drukarka padła. Do kogo z tym iść? Ale już podnoszą się ręce. Ten deklaruje dwieście, ta sto. Mało. No, nic. Napiszę na Dziewuchach. Pewno ktoś jeszcze się zadeklaruje.

Wieczorem jest odzew. Monika będzie drukować w pracy. Po trochu, żeby nie podpaść szefowej. Głupio byłoby stracić pracę za jedyńki. Są jeszcze dwa zgłoszenia. Przysypiam już, kiedy pojawia się myśl:- A jeśli przyjdzie nie tysiąc, a dwa, albo trzy tysiące? Matko Boska, a to się wpakowałam! Nerwowo łapię za słuchawkę telefonu.

- Synu! Potrzebuję jedynek! Dużo. Dużych! Takich na A-4, w arialu...

- Mamo, jakie jedyńki, spałem już... Dobrze, dobrze, wydrukuję. Tak, przywiozę ci...

Ósmy marca jest pochmurny i zimny. W pobliżu Placu Solidarności jest bar, w którym można dostać za darmo gorącą kawę albo herbatę. Właściciele solidaryzują się z Protestem. Ale na to nie ma czasu. Pojawiają się „rozdawacze”. Krążymy między ludźmi, którzy łapczywie chwytają jedyńki. Niemal wszyscy reagują podobnie:

- Jedyńka! To za dużo. Takich z zerem nie macie? A najlepiej minus jeden...

Czuję jak oni. Zbiorowa energia to coś co sprawia, że zapominam o swoim peselu, pledzie i klawiaturze, która tym razem będzie musiała poczekać. Obserwuję jak spora grupa ludzi podchodzi do stołów z Głosem Suwerena. Zanim wpiszą tam swoje życzenia i uwagi pod adresem tego, co funduje nam polska rzeczywistość, czarnymi, grubymi markerami zamaszycie dopisują ten minus przed swoimi jedyńkami.

Tłum gęstnieje. Już jest tysiąc, może dwa? Potem okaże się, że były trzy tysiące. Kobiety, mnóstwo kobiet, ale mężczyzn też nie mało. W pobliżu placu podjeżdża autobus ze słuchaczkami Uniwersytetu Trzeciego Wieku z pobliskiego miasteczka. Ale tym razem jest też mnóstwo młodych kobiet, dziewcząt, dzieci... Z daleka widać ekipę szczudlarek. Słychać miarowy łoskot drewnianych łyżek, którymi dziewczyny walą w bębny... Jest moc. Aparatura Magdy działa bez zarzutu. Rozlega się Pieśń Czarownic. Po plecach przebiega mi dreszcz i nie jest to dreszcz zimna...

No, dobrze, następny protest odstąpię młodszym.

Przed oczyma przez moment staje mi drobna buzia mojej wnuczki, która ze śmiechem woła: „Babciu, bierzesz z kosza czarną parasolkę. Pewno znów idziesz na protest...”

Może pójdziemy obie?

LADY PASZTET - KATARZYNA BARCZYK

Z PERSPEKTYWY KURY NIOSKI: FEMINIZM WYSIEDZIANY

Nie będzie lepszego czasu na pisanie. Spokój kobiecego pokoju z eseju Virginii Woolf zakłóca mój chłopak wbijający gwoździe. Kot się wprasza na kolana i kręci nieustająco, szukając swojego miejsca. A ja się waham od kilku dni.

Waham się, bo jako ofiara polskiego, patriarchalnego modelu socjalizacji tak nie do końca wiem, czy mam o czym opowiedzieć. Czy to będzie ważne. A może nie będzie? Może jakaś inna osoba zrobi to lepiej? Więc czy jest sens się starać, skoro wiadomo, że sensu nie ma?

Wiem jednak i to, że tego typu rozważania tkwią u podstawy naszego myślenia o sobie jako istotach, które nie mogą po prostu czegoś zrobić ot tak. Mówiąc o istotach, mam na myśli kobiety. Tak, będę generalizować. Mam wrażenie, że kobiety potrzebują jakiegoś ważnego powodu, aby podejmować nawet najmniejsze decyzje. Nie mogą ich podjąć ot, tak sobie. Nie mogą same za siebie zdecydować i powiedzieć: „A w dupie was mam”.

Przed chwilą usiadłam przy komputerze właśnie z takim zdaniem w głowie. W sensie, że mam w dupie, czy to wyślę na konkurs, czy też nie. Czy to będzie odpowiednio dobre, czy może bardzo złe. Trudno, będzie moje. Tak, jak mój był ten czarny protest. Wyjęty z obrazów Grottgera zryw kobiet. Kobiety, łączcie się! W krótkiej chwili samoświadomości, że ktoś ma was w dupie, a właściwie ma w dupie nas, bo także

i ja zaliczam się do tych kobiet. Ileż się trzeba było naczeakać, aby stało się jasne dla nas wszystkich, że to wcale nie jest jakaś odległa historia rodem z książek *science fiction*.

W sumie można powiedzieć, że polskie feministki wysiadywały ten protest. Siedziały na tym jajku od lat, ono wciąż nie chciało pokazać, że żyje. Skorupa była twarda i nie miała ochoty pękać. Zapewne co poniektóre kompletnie straciły nadzieję. A tu pyk! Najpierw jedna mała szczelinka, a potem już poszło po całości. Obudziły się feministyczne pisklęta i z wielkim zdziwieniem przecierały oczy, że oto żyją w patriarchy, a ten ma w dupie ich zdrowie i życie. I super. W sensie: super, że się obudziły, bo wcale nie musiało tak być.

Nie wierzyłam, że się obudzą. Kiedy zobaczyłam, że na facebookowej grupie mojego 15-tysięcznego miasteczka trwa dyskusja na temat zaostżenia prawa antyaborcyjnego, to myślałam, że spadnę z krzesła. Byłam w szoku. Zaczęłam czytać komentarze i z wielkim zdziwieniem odkryłam, że trwa naparzanek pomiędzy jakże wielkodusznymi chłopcami, którzy każde chrome niemowlę przyjmą pod swój dach, a wkurwionymi dziewczętami, które po raz pierwszy w życiu artykułowały swój wybór. Poszłam po wino. Wróciłam z winem i doszłam do wniosku, że może tutaj oto na moich oczach pęka skorupka. Dołączyłam do argumentujących koleżanek i z zadowoleniem zauważyłam, że jest kilka rozsądnych głosów męskich. A potem poszłam spać, bo mnie znudziło gadanie z debilami.

Rano zaglądam, a tam wydarzenie na Facebooku, że będzie #CzarnyProtest w mojej miejscowości. Moja pierwsza myśl brzmiała: to będzie masakra. I już zawczasu zrobiło mi się przykro. Jakiegolwiek próby organizowania się społeczności innej niż faszyzująco-kibolska nie miały do tej pory miejsca w tym uroczym miasteczku. Przestraszyłam się, że to będzie kompletna klapa i że wszystkie te młode, ledwo co wyklute kurczaczki stracą w jednej chwili piórka i już nie będą chciały iść drogą Matki Kury-Feministki. Na razie postanowiłam pójść na demonstrację. Spodziewałam się, że w pubie, gdzie miała być zbiórka przed wyjściem na demo, będzie może jedna osoba. Albo dwie. Najwyżej trzy.

W poniedziałek 3 października 2016 roku padał deszcz. Pojechałam samochodem do rodzinnego miasta, gdzie znajduje się nasza firma, zajmująca się wytwarzaniem żywności. Mój brat ogłosił, że wspiera #CzarnyProtest i że jeśli panie z załogi chcą iść do domu lub na protest, to jak najbardziej mogą wziąć wolne. Panie nie wiedzą, co to jest #CzarnyProtest. Na szczęście obok mnie stała Pani Agnieszka i to ona podjęła trud tłumaczeń. Lekka załamka na sam początek dnia. Piję kawę. A potem zebrałam się w sobie i pojechałam do tego nieszczęsnego pubu, gdzie mamy się spotkać. My, mroczne małomiasteczkowe konspiratorki.

Scena była filmowa. W środku knajpy siedziała jedna z protestujących. Weszłam ja i kilka ubranych na czarno pań. Zerknęłyśmy na siebie niewyraźnie, bo właściwie nie wiadomo, czy ktoś się ubrał na czarno tak po prostu, czy po to, by wyrazić poparcie. W pubie było dość dużo ludzi jak na tę porę dnia. W końcu to poniedziałek, nie powinno tu nikogo być. Moja koleżanka, Dagmara, która pracuje, jako operatorka kamery w Los Angeles i dzięki temu nabyła pewnej amerykańskiej bezpośredniości, poszła do ubranych na czarno kobiet i po kolei się z nimi przywitała. Dołączam do niej, chociaż *small talk* nie jest moją mocną stroną. Rozglądałam się po knajpie, ale żadnej twarzy z facebookowej dyskusji nie było. Za to były inne twarze. Twarze pań około pięćdziesiątki czy też, jak to się teraz ładnie nazywa, pięćdziesiąt plus. I oczywiście kilka młodszych, ale nie za dużo. Usiadłyśmy przy największym stole i z początku gadka się nie kleiła. Oczywiście musiałyśmy sobie same przytakiwać i wymieniać się uwagami na temat koszmarnego projektu ustawy, ale co innego tak pisać, a co innego wypowiadać. A jednak wkrótce ta zamknięta do tej pory przestrzeń tematów politycznych otworzyła się i wszystkie zaczęły mówić to, co myślą. Wśród nieznanych twarzy odnalazłam mamę mojej koleżanki z liceum. Zaczęłyśmy rozmawiać i tak od słowa do słowa budowałyśmy nową sieć. Teraz modnie jest się sieciować. To się sieciowałyśmy w kwestii aborcji, o której do tej pory nie można było z nikim porozmawiać. Przyszła dziewczyna, którą kojarzyłam z liceum, ubrana na czarno, z dzieckiem w wózku. Przyszedł także nieznan mi do tej pory radny z naszego miasteczka, przesympatyczny. Zbieramy się powoli, jak krople wody za oknem i jest już nas około trzydzieścioro. Na próbę czytam swoje przemówienie, które przygotowałam na protest we Wrocławiu. Głos mi drży. Dagmara robi zdjęcia. Dostaję oklaski.

W końcu decydujemy się opuścić naszą bezpieczną kryjówkę i wyjść na miasto. Pokazać się światu. To będzie ta najodważniejsza część. Łał deszcz, ale miałyśmy parasolki. Jeszcze nie wiedziałyśmy, że staną się symbolem protestu. Z przedszkolnego przyzwyczajenia grupujemy się w pary i powoli idziemy na rynek. Pojawia się reporterka lokalnej gazety, robi nam zdjęcia i przeprowadza wywiady. Pod parasolkami idziemy przez lekko wymarłe miasto. Zamierzamy trochę pokrążyć i wzbudzić tyle zdziwienia, ile się da. Dagmara filmuje nasz parasolkowy marsz. Jesteśmy razem, po raz pierwszy od wielu lat czuję, że to nie banał. Każda chce opowiedzieć coś o sobie i o tym, dlaczego tu przyszła. Nieznane mi dotąd panie to teraz moje bohaterki, bo wiem, ile kosztuje protest w małym mieście. Ile kosztuje feminizm w małym mieście. Ich odwaga mnie zainspirowała, dała mi siłę do działania i była uczuciem wręcz mistycznym. Byłam z nimi i byłam taka dumna, że jesteśmy razem. Jeden z najpiękniejszych deszczowych dni w moim życiu. A najlepsze było jeszcze przede mną.

Wzruszona i zmoknięta zgadałam się z nowo poznanym kolegą radnym i pojechaliśmy razem do Wrocławia, po drodze wstępując po mojego chłopaka. Demonstracja pod pręgierzem na rynku zaczynała się o 17.00. Jak zwykle nie udało się nam zdążyć na czas i minęło go jeszcze trochę, zanim dostałam się pod sam pręgierz. Największe wrażenie zrobiło na mnie to, że musiałam się pod ten pieprzony pręgierz przedzierać. Przede mną była czarna fala ludzi. Kobiet i mężczyzn. Kobiet było więcej. Co rusz kogoś potrącałam ramieniem, mówiąc: „Przepraszam, ja mam teraz przemówienie”. Szok bycia w takim tłumie. Dopiero później dowiedziałam się, że było nas dwadzieścia tysięcy. To widać na zdjęciach. I widać było ze zbudowanej na szybko sceny, która przy pręgierzu wyrosła. W końcu udało mi się tam przedostać w mojej czarnej woalce, pamiętce po cioci-babci. Dostałam ją w ramach żartu, tak dla przebieranek. Mimo że była rekwizytem, wpisywała się doskonale w to żałobne deszczowe popołudnie.

Weszłam na scenę i zaczęłam powoli czytać do mikrofonu przemówienie. Pisałam je rano, wciąż nieprzekonana, że w ogóle się na cokolwiek przyda. Pisałam szczerze i od serca, że chciałam mieć dzieci, ale nie w kraju, w którym o moim zdrowiu i życiu decyduje ktoś inny niż ja sama. Pisałam o tym, że się boję, bo gdy bardziej od medycyny ceniona jest religia, to nikt nie może czuć się bezpieczny. To były zwykłe słowa, proste i może nawet banalne, ale były ważne, jak się później okazało, nie tylko dla mnie. Nie wierzyłam w #CzarnyProtest, a stałam się jego częścią. Kolejną wkurwioną dziewczuchą, która dawała się oszukiwać, pozwalała na drobne matactwa i przymykała oczy, kiedy działa jej się „znośna” krzywda. Ale do czasu. Do czasu, kiedy wszystkie te drobnostki się skumulowały i powstał z tego gniew tak wielki, że nie dało się go zatrzymać.

Nie byłam w tym sama. Był pod sceną mój chłopak, moje przyjaciółki i przyjaciele. Ludzie, których nie znałam, chcieli porozmawiać. To była ta solidarność, o której kiedyś czytałam, że czasem przytrafia się jakiemuś pokoleniu. Tym razem przytrafiła się nam.

Niektóre z nas się boją, że ta energia się rozeszła. Obawiają się, że gniew się rozproszył i drugi taki zryw się nie uda. Tego nie wiemy, być może tak będzie. Ale ja wierzę, że feminizm się wykluł, stał się młodą kurką i nie da się go tak łatwo zamknąć do kurnika. Owszem, na co dzień jest niby tak jak zwykle. W końcu o każdej rewolucji się zapomina i zastępuje ją codzienność. Ale jestem pewna, że coś drgnęło.

Ostatnio, kiedy wiele dziewczuch z różnych miast planowało Ogólnopolski Strajk Kobiet, Mama zapytała mnie, czy coś wiem na temat tego, co się będzie działo w naszym mieście. Pytała, bo chciałyby się przejść z koleżanką, jeśli będzie jakaś demonstracja. I dlatego myślę, że Czarny Protest wciąż ma się dobrze. Kiełkuje w nas samych, dojrzewa i kiedyś na pewno da owoce... albo jajka.

ALEKSANDRA ZAKRZEWSKA

3 PAŹDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK

Pada. Śpisz. Czekam, aż się obudzisz. Pięć poniedziałków temu byłeś jeszcze po drugiej stronie brzucha. Uparcie chciałeś tam zostać, bo minął już tydzień od przewidywanej daty naszego pierwszego spotkania, a Ty wciąż nie dawałeś żadnych oznak, że Ci się śpieszy na ten świat.

Teraz też Ci się nie śpieszy. Śpisz. A przecież mamy iść na protest. Pakuję czarną parasolkę, wyciągam z szafy czarny płaszcz. Wciążam przed lustrem po-ciężowy brzuch. W radiu donoszą, że w Warszawie na ulicach już tysiące. Ciągle pada. Czekam, aż się obudzisz.

Pięćdziesiąt poniedziałków temu dowiedziałam się, że raczej Cię nie będzie. W naszym mieście jest kilka prywatnych klinik leczenia niepłodności, wszystkie nowoczesne, ekskluzywne z uprzejmymi paniami pielęgniarkami i empatycznymi panami doktorami. Jeden z nich po wykonaniu serii kosztownych badań diagnostycznych orzekł: wrogi śluz, przeżywalność plemników statystycznie nieistotna, nikłe szanse na naturalne zapłodnienie. Rozwiązanie: sztuczna inseminacja, ewentualnie in vitro. *Czy Państwo rozważają? Cennik na stronie.* Zaczęliśmy rozważać, a właściwie przeliczać, gdy postanowiłeś sprawić nam niespodziankę, a panu doktorowi psikusy i zamieszkałeś w moim brzuchu, wywołując na pięćsetnym z kolei teście ciążowym dwie kreski.

Budzisz się, już późno. Jechać czy nie jechać? Karmię Cię, przebieram, pakuję wózek i jedziemy na marsz. Pada, korki w mieście nieziemskie, pierwszy dzień roku akademickiego, jak zwykle Armagedon w naszym uniwersyteckim mieście i jeszcze ta pogoda. Mijamy wiele dziewcząt, dziewczyn, dziewczuch i kobiet. Chowają się przed zacinającym deszczem pod parasolkami, kapturami, wszystkie idą nie w TĘ stronę. Mam ochotę zatrzymać je wszystkie i zapytać: *No jak to? Nie wierzę! Nie macie tego wszystkiego dość?! Naprawdę się nie boicie o siebie?*

Ja mam serdecznie dość i boję się, że będzie tylko gorzej. Więc ciągnę Cię Synu przez te kałuże i ciągną mnie te szwy po cesarce, co jej w ogóle miało nie być. W naszym mieście są liczne prywatne szkoły rodzenia, więc z Twoim tatą sumiennie uczęszczaliśmy do jednej z nich i pilnie wysłuchiwalismy uśmiechniętych położnych, że tylko poród naturalny zapewni Ci, kochany Synu, najlepszy start w życie. Więc ćwiczyliśmy oddechy, kegle, masaże i podskoki na piłce, aby na ten świat sprowadzić Cię wspólnym siłami, sprawnie, zdrowo i bezpiecznie. Niestety w naszym mieście nie można wynająć położnej do porodu, nie ma prywatnych szpitali i prywatnych porodówek gdzie za kilka/kilkanaście tysięcy złotych można rodzić z mężem, doułą, w wodzie i w hipnozie. Do wyboru są: wojewódzka, dwie kliniczne oraz „oby tylko nie tam”. Wybieramy tę najbardziej obleganą, uruchamiamy lekarskie znajomości w rodzinie i po znajomych, bo normalnie, z ulicy dostać się nie idzie. Pięć poniedziałków temu jeszcze nie zaczęłam rodzić, a już miałam dość. To, co w prywatnym gabinecie jest normą, w państwowym szpitalu jest nieosiągalne.

W pakiecie NFZ w najlepszym wypadku należy się od lekarza zniecierpliwienie i obojętność, w standardzie lekceważenie i kpina. Dla tzw. „trudnej pacjentki”, czyli tej zadającej pytania, jest extra upokorzenie i zastraszenie. 25 lat akcji *Rodzić po ludzku*, Standardy Opieki Okołoporodowej, wykłady i ćwiczenia w szkole rodzenia, wszystko psu na budę – mam pecha, bo pani położna wie lepiej. Wie, że niepotrzebne mi znieczulenie, skoro ona sama urodziła czwórkę dzieci bez. Wie, że moje skurcze są słabe, więc podaje bez pytania dawkę oksytocyny, która prowokuje skurcz tak potężny, że Twoje tętno spada gwałtownie i idziemy pod nóż. Anestezjolog, chirurg, jarzeniowe światło i 20 minut później już jesteś wyszarpywany z mojego brzucha.

Płaczę ze szczęścia, że Cię mam. Płaczę z bezsilności, bo przegrałam. Nie obroniłam własnych praw, godności, poczucia podmiotowości i sprawstwa.

Wybacz synu, że na ulicy głośno i nie możesz spać. Wybacz, że pada na Ciebie deszcz. Muszę tu być, bo naprawdę, naprawdę mam dość. I sama nie wiem, czy już płakać czy jeszcze się śmiać. Jestem tu Kochany Synku z Tobą, bo boli mnie to, że w naszym kraju politycy, premierzy, posłowie, prezesowie, ministrowie, biskupi, księża, ordynatorzy, lekarze i położne wiedzą lepiej, co jest dla mnie dobre. Wiedzą lepiej i mają władzę, by odebrać mi prawo decydowania o sobie. Jestem tutaj, bo mierzi mnie lekceważący ton, pogarda sącząca się z ust tych Lepiejwiedzących. Wstrętem napawa mnie fakt, że za ich postawą kryje się wyrachowanie i oportunizm, do których dorabiają pokrętną ideologię. Moim kosztem. Jestem tutaj, bo nie życzę sobie, aby rościli sobie prawo do dysponowania moim zdrowiem, moim bezpieczeństwem, moim życiem i godnością. Jestem tutaj, bo nikt nie liczy się z moim głosem mimo, że płacę podatki i składki zdrowotne od ponad 10 lat, utrzymując w ten sposób armię Lepiejwiedzących.

Zasypiasz, rozglądam się dookoła. Ogarnia mnie wzruszenie, bo jest nas „wózkowych”, kilkanaście w kilkutyśięcznym tłumie. O ironio, najwięcej nas stoi pod olbrzymim transparentem tzw. obrońców Życia. Uśmiecham się, dziękuję sobie i Wam dziewczuchy, że tu jesteśmy. Myślę, że trudno będzie w głównym wydaniu Wiadomości nazwać matkę z dzieckiem w wózku „szaloną lewaczką/zapiekłą feministką/morderczynią nienarodzonych”.

Idziemy w marszu milczenia, deszcz siąpi, a ja nie mogę przestać myśleć, że chciałabym jeszcze kiedyś sprowadzić na ten świat Twoją siostrę albo brata. Chciałabym stworzyć i urodzić nowego człowieka, mieć udział w tym cudzie. Chciałabym też, aby ta decyzja nie wymagała ode mnie heroicznej odwagi. Chciałabym nie musieć się bać. Chciałabym mieć dostęp do bezpłatnej i profesjonalnej opieki medycznej w trakcie ciąży i porodu, chciałabym móc skorzystać bezproblemowo z diagnostyki prenatalnej, chciałabym doświadczyć życzliwości i szacunku od personelu medycznego. Marzę, też by móc wychowywać Cię w kraju, gdzie słowa „dałn” i „pedał” nie są największą

obelgą wśród dzieci na podwórku, a matki karmiące piersią w restauracji nie są wypraszane przez kelnerów do toalety.

Przeraża mnie perspektywa podejmowania decyzji o usunięciu ciąży, ale tak, chcę mieć taki wybór. I wiem, że nikt nie mam prawa takiego wyboru komukolwiek odmawiać. Dlatego też uczyniłam Cię być-może-najmłodszym uczestnikiem Czarnego Protestu.

Ciiiiii Syneczku, śpij, już nie pada, wracamy do domu.

JAROSŁAW BLOCH

ŻAŁOBA

Otwierając rano szafę, Maria nawet nie pomyślała o rzeczach, które spokojnie czekały na wieszaku w przedpokoju. Wytarte dzinsy i wygodny, granatowy sweter. Gwarancja bezpieczeństwa tego dnia zostanie w domu.

Nauczycielka historii w gimnazjum wiedziała, że oto nadszedł dzień próby. Wiele rewolucji nie dokonałoby się nigdy, gdyby wszyscy chowali się po kątach. Może będzie uczestniczką historycznych chwil? Tego ranka wyszła z domu w czarnej sukience.

W połowie drogi do pracy przemknęła przed nią Dorota w kwiecistej kreacji, częstując ją szerokim uśmiechem i dziarskim „dzień dobry”. Maria uczyła ją kiedyś, jak większość młodzieży na osiedlu. „Dorota nawet nie zna swoich praw. Takie pokolenie. Trzeba było za nich walczyć, niańczyć do dorosłości, nie przebudzą się tak łatwo” – pomyślała Maria z goryczą. A która z koleżanek nauczycielek na znak protestu ubierze się dziś na czarno? Żadna? Wszystkie mądre na użytek własnego kółka, wszystkie wiecznie się czegoś obawiają. No zobaczymy.

Z impetem wpadła do pokoju nauczycielskiego. Trzydzieści procent odziane w czerń. Uff! Kolejne trzydzieści jak zwykle spoglądało obrażonym wzrokiem na wszelką inność – ubrania, poglądów, a nawet w stosunku do uczniów. Kolejne trzydzieści stale robi złośliwe uwagi. Dziesięć na dyżurach. Mogło być gorzej, mogła zostać sama. Teraz czas na pierwsze reakcje. Zygmus, wiecznie w tym samym otłuszczonym swetrze, z tym samym błyskiem złośliwości w oku, zaczął w swoim mlaskająco – obleśnym stylu:

- Widzę, że koleżanki po kimś w żałobie dzisiaj? Jakiś wspólny kochanek zmarł, he he he...
- Pierdol się Zygmus – nie wytrzymała anglistka Zuza. – A nawet gdyby, to lepsze to, niż małolaty na czacie.
- No no! Na policję za oczernianie podam. Nic nigdy mi nie udowodniono! Bezczelność i chamstwo! Lekko drgająca ręka zdradzała jednak, że strzał był celny.

Zygmunt należał do jedynie słusznej opcji, która rządziła miasteczkiem od czterech kadencji i prowadziła lokalną policję na pasku. Co z tego, że dwa lata temu złapano go, jak nagabywał co lepiej rozwinięte dziewczęta w swojej kanciapie, a w historii na kompie miał pełno stron z dziecięcą pornografią. Żaden świadek się oficjalnie nie zgłosił. W komputerze, niby przez przypadek, spalił się na drugi dzień twardy dysk.

Napiętą atmosferę na szczęście przerwał dzwonek wzywający na lekcje. Maria nie zastanawiając się długo chwyciła dziennik i... wpadła na Jolkę schodzącą właśnie z dyżuru.

- Jola ty nie na czarno? – zdziwiła się Maria – Przecież sama nas namawiałaś?
- Eee... głupia sprawa – odparła wyraźnie zmieszana Jolka. – Córka chrzci za dwa miesiące dzieciaka...
- Co? – Maria nie kryła zdziwienia. – Wy i chrzest? Przecież ty...
- To skomplikowane – zaczęła wyjaśniać Jola. – Teściowa mojej córy to ultra katoliczka. Powiedziała, że po kryjomu zaniesie do chrztu, jeśli nie zrobią tego oficjalnie. No to młodzi stwierdzili, że dla świętego spokoju ochrzczą, żeby babcia cyrku z porwaniem nie zrobiła. No po prostu nie chcę młodym pogarszać sytuacji, bo jak mnie proboszcz na czarno zobaczy, to jeszcze im nie ochrzci, a wie, że do kościoła nie chodzą. Szkoda gadać. Wiesz, że u mnie w bloku to same donosicielki mieszkają. Tutaj wszystko kręci się wokół jednego.

Jolce wyraźnie było głupio. Nie roztrząsały już tej sprawy, bo każda spieszyła się na lekcje. Jednak Marii nie od razu dane było uczyć. Już od drzwi połowa klasy zasypała ją pytaniami dotyczącymi nietypowego stroju:

- Proszę pani, dlaczego ubrała się pani na czarno? – Ktoś umarł z rodziny?
- Proszę pani, a o co chodzi w tym proteście? - dopytywały lepiej poinformowane dziewczęta.

Z nauczycielską cierpliwością zaczęła tłumaczyć, że to żadna żałoba, tylko protest w obronie praw kobiet. Więc też i w ich, tu siedzących, obronie. Prawa kobiet są łamane, bo za tę samą pracę dostają mniej pieniędzy. Bo pracując na dwóch etatach w domu i w pracy są przemęczone. Jednak Maria zapomniała, że uczy w szkole rejonowej. Pośród zbieraniny dzieciaków były i te, których socjalizacja przebiegała znacznie gwałtowniej niż szkolne pogadanki. Już po chwili kilku gówniarzy zaczęło chojraczyć, a inni podchwycili temat.

- U mnie ojciec by po mordzie starą wystrzelał, jakby z takim tekstem wyjechała – zarechotał jeden, u którego kurator był od zawsze.
- A mój mówi, że miejsce baby jest przy garach – nie chciał być gorszy drugi.
- Jesteś debilem, tak jak twój stary – na co dzień cicha dziewczynka chciała pomóc swej nauczycielce.

Po chwili cała klasa obrzucała się mięsem. Krzyk Marii już nie był w stanie się przez to przebić. Na dodatek hałas zwabił dyrektorkę. Gdy ta dowiedziała się, o co poszło i na co marnowany jest czas lekcyjny, skarciła Marię przed całą klasą i wezwała w trakcie okienka na dywanik.

- Dlaczego poniżyłaś mnie przed całą klasą?- w gabinecie Maria nie kryła wzburzenia
- Gośka! Pracujemy razem tyle lat! Wiem, niepotrzebnie drążyłam ten temat w tak trudnej klasie, ale żeby mnie tak zbesztać przed dziećmi?
- A co miałam powiedzieć? Pochwalić cię za to, że szerzysz tutaj te swoje brednie? Potem powtórzę rodzicom, a wiesz przecież...
- Tak, tak. Rodzice to wyborcy i to w dodatku konserwatywni. Odkąd twój Heniek jest szefem struktur coraz bardziej zaczynamy przypominać partyjną szkołkę, a coraz mniej szkołę publiczną.
- Ale dwie pracownice w każdym półroczu masz odnowione. Będiesz dyrektorką, to sobie zrobisz pogadanki i czarne piątki, ale póki co, rządzą tutaj ja. Sorry Maryśka. Jak się nie podoba, to siłą cię tu nie trzymam.

Wciąż wzburzona Maria doczekała końca zajęć, starając się unikać wszystkich i nie poruszać już tematu swojego czarnego stroju. Szła określną drogą, aby wstąpić po zamówioną receptę do przychodni. Może w Warszawie taki protest przejdzie, ale tutaj?- myślała. Tutejsze życie toczyło się od lat ustalonym torem, gdzie z jednej strony był proboszcz, z drugiej burmistrz. Konserwatywny, jak cała lokalna społeczność. I nawet jeśli ktoś myślał inaczej, to zostawiał poglądy we własnym mieszkaniu, a na zewnątrz grał kogoś, kim nie był. Może to całe pokolenie musiało po prostu wymrzeć? Może młodzi coś zmienią?

Jakby na zawołanie z przychodni wyszła wiecznie zabiegana Dorota, ta spotkana rano. Była uczennica, której przez lata Maria wpajała nowoczesne poglądy. Młoda, wyzwolona i... w kwiatki.

- Dorota, a ty dlaczego dziś nie na czarno? Taka młoda i postępowca...
- A widzi pani tego starego ramola? – dawna uczennica wskazała na lekarza wychodzącego z przychodni.
- Doktora Jakubowskiego? Tego ginekologa? – upewniła się Maria.
- Tego właśnie. Od roku z nim współpracuję, wciskając mu wszystkie najdroższe preparaty. On przepisuje je tutejszym młodym mamom, które za to samo dałyby połowę ceny, gdyby tylko samodzielnie potrafiły myśleć. Ale wie pani, dla dziecka wszystko. Stary ramol ma na ścianie oprawioną w ramkę klauzulę sumienia i obok zdjęcie papieża. A gdy w zeszłym tygodniu dałam mu w kopercie nieopodatkowaną premię za te preparaty, to aż mu oczy błyszczały.
- I ty tak możesz... nie masz wyrzutów sumienia?

- Jakie wyrzuty? Ja tam nawet popieram ten wasz protest, ale i tak rządzi na tym świecie kasa. Dlatego Jakubowski tutaj może być święty z klauzulą sumienia na ścianie, a jak któraś chce usunąć, to wysyła ją na konsultację prywatnie, do brata w Czechach. A wie pani, dlaczego takich niezależnych kobiet jak pani nie znoszą?

- Są zakłamanymi.

- Też. Ale burzycie im fasadę, która skrywa ich drobnomieszczański smród. A smród ma pozostać tam, gdzie jest. Oni ten smród kontrolują i tak ma pozostać. Co z tego, że przyznam pani rację? Co z tego, że ubiorę dziś czarną kieckę? Tylko tyle, że Jakubowski mnie demonstracyjnie wyrzuci z gabinetu, a ja stracę pewnego klienta. Na moje miejsce przyjdzie inna, która zrozumie, że za swoje niezależne poglądy nic sobie w sklepie nie kupi.

- Dorota... A ja głupia myślałam, że w szkole wpoiliśmy wam inne zasady. Na Zachodzie...

- Nie jesteśmy na Zachodzie – przerwała jej Dorota – Niech się pani obudzi, pani profesor. To głęboki Wschód. Tego szkoła nie zmieni, tego nie zmieni żadna Unia, te granice są gdzieś w nas, tutaj, w głowach. Mentalnie jesteśmy na Wschodzie, a ci, którzy chcieli zachodu to tam po prostu pojechali.

Przez resztę dnia Maria chodziła wyraźnie przybita. Te granice są w głowach... dźwięczały jej wciąż w uszach słowa Doroty. Przecież wiedziała o tym od dawna, a jednak zamykała się codziennie w swej wieży z kości słoniowej. Może gdyby miała męża, to by była mniej oderwana od rzeczywistości?... Może. Dopiero teraz dostrzegła, że w jej małym, prowincjonalnym miasteczku, skąd do Warszawy bardzo daleko, codziennie pod jej nosem dochodziło do migracji. Jej szkoła, lekcje niektórych jej koleżanek były enklawą Zachodu w kraju, który pozostał na Wschodzie. Tu prawa kobiet leżą wciąż w gestii mężczyzn, którzy w swoich wschodnich, domowych królestwach mogą wszystko. Te prawa wyznaczone są rytmem czeskich konsultacji u brata doktora Jakubowskiego, rytmem poświęcanej kropidłem domowej przemocy, określone są wieczną gonitwą między praniem, obiadem a własną karierą, którą wyznaczał i oceniał ważny facet lub żona jakiegoś ważnego faceta. Szefowa taka jak jej własna, zadowolona z pozycji, którą posiadała, będąc żoną męża stojącego co niedziela w pierwszym rzędzie na mszy, która nie była mszą, lecz korowodem, w którym każdy znał swoje miejsce, w którym każdy odgrywał swoją ściśle określoną rolę. W takim kraju żyła. I może faktycznie ta dzisiejsza czerni nie była protestem, tylko żałobą po utraconych dawno marzeniach?

KATARZYNA CHOŁUJ

TRUDNO MARZYĆ

*„A więc pamiętaj
– w trudną porę marzeń
masz być ambasadorem”*

Czesław Miłosz

Obserwowali mnie. Takie miałam wrażenie idąc na przystanek. Czarne tenisówki, czarny kombinezon i ciemnogrnatowa kurtka wzbudzały dziwne spojrzenia. Dochodziła czternasta. Wsiadłam do autobusu i jeszcze wyraźniej poczułam na sobie wzrok pasażerów. Wystraszyłam się. Nie ich oczu. Odżyły we mnie bolesne wspomnienia poczucia bezustannej obserwacji przez nieznanomych. Uspokajałam myśli tłumacząc sobie, że tym razem to nie złudzenie. Gapią się naprawdę. Po dwudziestu minutach wysiadłam w centrum Radomia.

Ulżyło mi. Już tak bardzo nie odczuwałam spojrzeń innych. Nie byłam sama. Osoby w czerni szły w kierunku urzędu miejskiego. Umówiłam się z mamą i jej koleżanką pod rozkraczonym Kochanowskim w parku. Dotarłam na miejsce. Z ledwością się odnalazłyśmy. Nietypowy pomnik okazał się miejscem zbiórki dla wielu protestujących.

Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że zaangażuję się w jakąkolwiek manifestację. Od kilku miesięcy starałam się nie słuchać, nie czytać, nie widzieć politycznych zagrywek. Bezskutecznie. Uciekałam od informacji, a one i tak bombardowały mnie z coraz większą siłą. W poniedziałkowy poranek trzeciego października poczułam nieodpartą chęć uczestniczenia w przemarszu kobiet, mężczyzn, a nawet dzieci.

Zostaliśmy zmuszeni do wyjścia na ulicę. Ustawa zaostrzająca prawo aborcyjne staje się coraz bardziej realna. Obywatelski projekt bez problemu został przegłosowany do dalszych obrad. Faktycznie został on złożony przez skrajnie konserwatywnych

obrońców życia, ale mimo to jak dla mnie jest on niby obywatelski. Postom łatwo przyszło zastanianie się wolą ludzi, nie bacząc przy tym na liberalną propozycję ustawy, która również wpłynęła do sejmu.

Urodziłam się w osiemdziesiątym roku. Podczas uchwalania ustawy w 1992 roku byłam szóstoklasistką. Pamiętam, jak pewnego dnia nauczycielka zaprowadziła całą klasę do sali audiowizualnej. Sprawdziła listę. Nieobecność miała skutkować jedynką z religii lub z biologii. Nie pamiętam. Za to doskonale pamiętam obrazy z filmu „Niemy krzyk”. Fragmenty rączek, nóżek noworodków leżących na podłodze w sali szpitalnej. Narzędzia chirurgiczne. Zamykałam oczy podczas projekcji.

Nie wyobrażam sobie, że dzisiejsza młodzież może przechodzić przez podobne, traumatyczne chwile. Być może nawet jeszcze bardziej drastyczne. Nie mogłam więc odpuścić. Nigdy wcześniej nie czułam takiej siły pchającej mnie do zaangażowania się w politykę.

Wybiła szesnasta. Pod urzędem miejskim stało około siedemset osób. Wszyscy w czerni. Kobiety starsze i młodsze, w ciąży i z małymi dziećmi w wózkach, mężczyźni w różnym wieku. Nie sądziłam, że będzie nas aż tyle. Nie lubię rodzinnego miasta. Po raz pierwszy pomyślałam: „może Radom nie jest taki zły”.

Na schodach przed urzędem kilka kobiet spokojnym tonem tłumaczyło, dlaczego i w jakim celu jest manifestacja. Że nie jesteśmy za śmiercią. Za życiem, ale pozostawiającym wybór kobiecie. Niektórzy chcieli totalnej swobody w podejmowaniu decyzji o przerwaniu ciąży, inni możliwości aborcji w przypadku upośledzonego płodu czy dziecka z gwałtu. Nieważne. Wszystkich nas łączyło jedno. Życie. Nie na siłę, pod przymusem, lecz w pełni świadome.

Podczas przemowy kilku kobiet, w tym jednej stojącej z kilkunastoletnią córką, nagle pojawiła się grupa osób z młodzieży wszechpolskiej. Rozumiem. Mogą mieć odmienne poglądy, ale to były dzieci. Chłopcy, dziewczynki piętnastoletnie, może szesnastoletnie. Poprosiliśmy, by odeszli. Jeszcze przez chwilę wykrzykiwali hasła: „Nie zabójczyńmi!”. Zwinęli flagi i zniknęli w tłumie.

Szliśmy w kierunku rynku pod siedzibę Prawa i Sprawiedliwości. Atmosfera przyjaźni, sympatii. Niesamowita. Obowiązkowym postojem było miejsce pod pomnikiem pary prezydenckiej. Pierwszym, jaki powstał w Polsce i chyba jedynym, którego miniaturę można kupić za sześćdziesiąt złotych w punkcie informacji turystycznej. Część osób niosła wieszaki. Żałowałam, że nie wzięłam z domu. Jeden z mężczyzn, taki po sześćdziesiątce, miał na suwaku kurtki zawieszony metalowy wieszak, a na nim białą kartkę z napisem: „czarny protest”. Z kolei w jednym ze sklepów na radomskim deptaku na wystawie stały gołe manekiny obwieszane wieszakami, a na szybach naklejono kartki również z napisami: „czarny protest”. Idąc rozglądałam się i co jakiś czas dołączałam do skandowania hasła: „Chcemy lekarzy, nie misjonarzy”. Doszliśmy do celu.

Wypełniliśmy radomski rynek. Wołaliśmy polityków. Chyba nikt z nas nie spodziewał się, że zobaczymy jednego z nich. Po kilku minutach nawoływania w drzwiach siedziby PIS-u pojawił się Marek Suski. Okrzyki wzbierały na sile. Organizatorzy poprosili o ciszę. Radomski polityk zwrócił się do nas i powiedział: „Ja osobiście mogę państwu obiecać. Nie będę głosował za zastrzeżeniem ustawy”. Rozległo się buczenie. Niedowierzanie. Tuż za mną stała dziennikarka z lokalnego radia. Usłyszałam, jak mówi: „On nie kłamie. Znam go. W tej kwestii mówi prawdę”. Tłum nie przestawał krzyczeć: „Nie wierzymy! Nie wierzymy!”. Ja uwierzyłam. Suski wszedł z powrotem do swojego gabinetu. Ci, co mieli wieszaki podchodzili do drzwi i zawieszali je na klamce siedziby partii.

Rozeszliśmy się. Obok mnie szła kobieta z kilkuletnią wnuczką. „Wnusi, teraz może nie rozumiesz, ale pamiętaj, że babcia była tu dla ciebie” – powiedziała, obejmując dziewczynkę.

Szliśmy z mamą i jej znajomą w kierunku kina „Elektrownia” na seans „Ostatniej Rodziny”. Stanęliśmy przy przejściu dla pieszych. Nagle wypasiony samochód zahamował z piskiem opon. Dwaj młodzi kołesie otworzyli okna i krzyknęli: „Na biało się ubierzcie!”. „Kretyni” – pomyślałam. Niestety to nie koniec.

Nie rozumiem skąd w ludziach tyle nienawiści. Po poruszającym filmie wróciliśmy do domu. Moja facebookowa mama weszła na swój profil. Zawołała mnie: „Kasia, zobacz!” Nie mogłam uwierzyć w to, co przeczytałam: „*Czyli wpisujesz się*

technologię śmierci. A więc, pewnie myślisz jak należy ją uskutecznić. Ten dzieciak którego wyciągnęli z matki podczas aborcji umierał chyba z godzinę. Lekarze uciekli jak zobaczyli, że ożył. Czy to nas czeka, patrząc na to co Ty powielasz na FB z gazety wyborczej. Tak się nie stanie. Jesteście jakimś upośledzonym wybrykiem natury i nic więcej". Kolejny wpis brzmiał: „Idąc Twoim tokiem myślenia (patrząc na te foto, które załączyłaś) trzeba zabijać dzieci powiedzmy np. do 3 lat, bo co za różnica czy ma 3 miesiące czy 3 lata. Jedno i drugie żyje. Dalej. Powinna być opublikowana instrukcja zabijania np. śrubokrętem w oko, no bo chyba państwo nie będzie za to płaciło. Nie wiem kto ma taką instrukcję przygotować. Jakie ministerstwo? Bo chyba nie zdrowia? Czy jak? Pewnie myślisz też że psycholi należy zabijać np. do 10 roku życia. Czy więcej, albo jak mają mniej lat? Chętnie przeczytam, co o tym sądzisz". To wszystko pojawiło się pod zdjęciem, które mama udostępniła na swoim profilu zachęcając do udziału w manifestacji. „Ja pierdolę!” – skwitowałam, mimo, że niezwykle rzadko przeklinam, szczególnie przy rodzicach. Mama nie zareagowała. Złość biła z jej oczu, policzki czerwieniały. Nie powiedziała ojcu. To jego kolega z pracy. Spiera się z nim czasem, ale pewnie nie przypuszczałby, że jego poglądy są aż tak skrajnie. Już wie. Drugiego listopada nauczyciel akademicki, autor powyższych wpisów zamieścił kolejny, pod zdjęciem tablicy nagrobkowej Mikulskiego napisał: „Zdrajca narodowy”. Mama usunęła go z kontaktów. Pokazała tacie. O poprzednich komentarzach nie powiedziała mu do dziś.

Staram się nie oceniać. Zrozumieć. To trudne. Chwilami niemożliwe. Wolę pamiętać sympatyczną atmosferę podczas czarnego poniedziałku. Mężczyznę z wieszakiem pod szyją, starszą panią rozmawiającą z wnuczką, spotkanie po latach z koleżanką z liceum i z kilkoma znajomymi z byłej pracy. Niestety. I tak jestem przerażona. Tym, co się dzieje, tym, co może się jeszcze wydarzyć. Boję się, jak nigdy wcześniej.

KATARZYNA DURAJSKA



Od kiedy pamiętam mieszkanie mojej rodziny było pełne książek. Były (i ciągle są) wszędzie. Na regałach, w szafach, na szafkach, na parapetach, na stoliku do kawy, ułożone w stosach na podłodze. Jako nastolatka lubiłam najbardziej przeglądać różne słowniki i atlasy. Znajdowałam rozmaite ciekawe pojęcia i szukałam dalszych informacji w Internecie. W gimnazjum miałam ambitne postanowienie, żeby przeczytać całą encyklopedię, ale poddałam się już przy „A”. Wśród książek dużo było literatury specjalistycznej, zwłaszcza medycznej. Czytałam, zafascynowana doktorem Housem. W ten sposób dowiedziałam się, czym jest płód arlekinowy. Zobaczyłam ilustrację przedstawiającą noworodka o nietypowych proporcjach, którego ciało było pokryte dziwną łuską. Przerazający widok głęboko zapadł mi w pamięć. Takie dzieci umierają zwykle w pierwszym tygodniu po urodzeniu. Potem poznałam Zespół Edwardsa, Zespół Patau, Bezmózgowie. Wiele z nich można zdiagnozować w okresie prenatalnym.

Wrzesień, 2016

Nigdy specjalnie nie interesowałam się polityką, ale wizja ludzkiego cierpienia budzi we mnie instynktowny sprzeciw. W mediach głośno o próbie wprowadzenia restrykcyjnego prawa antyaborcyjnego. Czytam projekt ustawy. Barbarzyński, bezmyślny. Oczyma wyobraźni widzę te porodówki pełne nieszczęścia. Załamane matki, zapłakanych ojców i cierpiące dzieci. Chore, zniekształcone, pozbawione narządów wewnętrznych, umierające na końskich dawkach morfiny. Kobiety, które wiedzą, że ich dziecko czeka króciutkie życie w bólu, a i tak muszą je urodzić, żeby nie trafić do celi. Próbuję wyobrazić sobie zgwałcone lub ciężko chore kobiety

zmuszane do rodzenia pod groźbą więzienia. Okropności, których wolałabym sobie nie wyobrazić, teraz stają się realnym zagrożeniem.

Rozwieszam plakaty o strajku w rodzinnej miejscowości, gdzie teraz spędzam wakacje.

3 października 2016, Kraków

8:30, Mój pokój

Za oknem deszcz. Dziś początek roku akademickiego. Na pewno nie pójde na uczelnię. Zresztą i tak w tym semestrze nie mam zajęć w poniedziałki. Stoję przed otwartą szafą i próbuję wygrzebać jakieś czarne ciuchy. Większość moich ubrań jest wzorzysta i kolorowa. W końcu odnajduję sukienkę, którą zwykle zakładam na egzaminy.

14:00, Plac Szczepański

Dużo się dzieje dziś w Krakowie. Na chwilę zajrzałam do kawiarni, gdzie odbywają się wykłady w ramach Strajkowej Wszechnicy Kobiet. Wszystkie kobiety ubrane na czarno, jak na pogrzebie. Wchodzę do apteki. Wszystkie panie farmaceutki pod fartuchami mają czarne ubrania. Na ulicy większość mijanych osób też nosi kolor żałoby.

Podobno czern w naszej kulturze symbolizuje śmierć, noc i grzech. W magazynach o modzie piszą, że jest szykowna i uniwersalna. Dziś oznacza protest.

Idę przez miasto z wielkim workiem czarnych ciuchów. Wszystkie dostałam od współlokatorki. „Bierz, i tak miałam je oddać, zresztą połowa z nich jest już tak zniszczona po remoncie, że nie dałabym na biednych. Teraz przynajmniej będzie z nich jakiś pożytek”. Ludzie oglądają się z zaciekawieni, bo idę w eleganckiej sukience z wielkim, czarnym workiem na śmieci. Docieram na miejsce. Niektóre kobiety też mają siatki albo podobne do mojego worki z czarną odzieżą. Najmłodsze to licealistki, najstarsze emerytki. Wybija godzina zero. Wyjmujemy ubrania z toreb i zaczynamy

układać je według pomysłu jednej z uczestniczek happeningu. W ten sposób na środku placu powstaje instalacja z kobiecej garderoby; wielki, tłusty, czarny pająk z długimi nogami. Groza i determinacja walki o nasze prawa.

Na placu są też turyści, taksówkarze i grupa księży. Przechodnie patrzą z zaciekawieniem, ale omijają „pajaka”, jakby w każdej chwili mógł zaatakować.

Przyglądamy się temu, co zrobiliśmy, niektóre z nas robią zdjęcia telefonami i rozchodzimy się, zostawiając ubrania na pastwę deszczu. Będą leżeć mokre w środku miasta. Nie damy z siebie zrobić ofiar okrutnego prawa.

ok.17:00, Most Dębnicki

Pada nieustannie. Maszerujący tłum musi się zwięzić, żeby przejść przez most. W tłoku i zgiełku gubię znajomych. Jestem przemoczona do suchej nitki, jakbym weszła w ubraniu pod prysznic. Czuję, jak woda chlupie mi w butach, przelewa się między palcami stóp. Jakaś dziewczyna uśmiecha się i zaprasza mnie pod parasol. Od razu mi cieplej. Chwilę rozmawiamy, okazuje się, że jest na tych samych studiach co moja przyjaciółka. Maszerujemy ramię w ramię. Ja trzymam transparent, ona parasolkę.

19:00, Rynek Główny

Nigdy nie widziałam Rynku tak przepętnionego - ludźmi i emocjami. Zwykle źle się czuję w tłumie, ale dziś w miarę pewnie i bezpiecznie. Jestem tu, by nie dopuścić do ludzkich krzywd i tragedii. Nie jestem sama. Są nas tysiące.

Gdy rozchodzimy się do domów, zaczepia mnie zagraniczna turystka. Pani koło pięćdziesiątki, Brytyjka, sądząc po akcencie. „Co tu się dzieje? O co chodzi?” - pyta. Opowiadam o projekcie ustawy stworzonym przez organizację Ordo Iuris: zakaz aborcji nawet w przypadku, gdy ciąża zagraża zdrowiu kobiety, gdy badania prenatalne wskazują na ciężkie i nieodwracalne uszkodzenie płodu, gdy ciąża jest wynikiem gwałtu. Kobieta coraz szerzej otwiera oczy pełne zdumienia i przerażenia. Mówię o sejmie, który skierował projekt do dalszych prac w komisji. Brytyjka jest poruszona. Zapewnia, że będzie wspierać Polki protestujące przeciw barbarzyństwu.

20:00, u mnie w kuchni

Przemarznięci i zmęczeni, pijemy ze znajomymi gorącą herbatę.

- Dzwoniła K. Też była na proteście - mówi moja współlokatorka. K. to nasza wspólna koleżanka. Raczej nieśmiała, konserwatywna i nieangażująca się w politykę.

- Skoro nawet K. była, to musi to coś dać - ktoś dopowiada.

Muszę jeszcze zrobić pranie. Przecież jutro jest normalny dzień.

ANNA B E

KRÓTKA HISTORIA MIŁOŚCI BLIŹNIEGO

Wciąż jeszcze jestem dumna z mojego kraju. Szanuję bohaterów historii, czerpię z kultury, lubię swojską kuchnię i kocham naszą przyrodę. Serce mi pęka, bo nasz kraj staje mi się coraz bardziej obcy. Nie mogę znieść nietolerancji i nienawiści. Wypluwają z ust polityków i osadzają się na narodzie jak lepki pył. Politycy mają czelność uważać się za ekspertów od rodzin i życia prywatnego. Są zamożni, więc ich życie nie ma nic wspólnego z naszą codziennością. Nie znoszę hipokryzji, zasłaniania się Bogiem, pseudo-patriotyzmu. Udają mądrych, a często nie mają podstawowej wiedzy. Jednak najbardziej ze wszystkiego nie znoszę chorego pomysłu polityków, by zmuszać kobiety do rodzenia w imię wyższego współczynnika dzietności.

Polskie prawo dopuszcza aborcję w trzech przypadkach: gdy ciąża pochodzi z gwałtu, gdy zagrożone jest życie albo zdrowie kobiety, gdy płód ma nieodwracalne wady i uszkodzenia. To jedno z najsurowszych praw antyaborcyjnych w Europie, ale według obozu rządzącego ciągle zbyt pobłażliwe. Partia, która otrzymała poparcie od niewielkiej części społeczeństwa, pragnie, by aborcja w Polsce była całkowicie zakazana. Polki w dużej mierze są temu przeciwnie, dlatego 3.10.2016 zdecydowałyśmy się wyjść na ulice. Udowodniłyśmy, że nie pozwolimy, aby nas lekceważono. Skoro przysługuje nam wolność słowa, wolność poglądów i wyznania, dlaczego ktoś chce nam odebrać wolną wolę?

Według badań CBOS z 2011, aż 95% mieszkańców Polski deklaruje się jako katolicy. Ja również wychowałam się w rodzinie katolickiej. Każda trudność kwitowana była stwierdzeniem „musisz nieść swój krzyż”. Niosłam go, biegając do kościoła co niedzielę, śpiewając w scholii i chodząc na pielgrzymki. Topiłam smutki w modlitwie, ale w głębi duszy cierpiałam, bo wraz w wejściem w okres dojrzewania sielanka się skończyła. Mój wygląd był powodem kpini i przedmiotem żartów. Nie miałam wsparcia w rodzicach. „Mieli gdzieś” moje problemy. Nim się obejrzałam, zachorowałam na depresję

i anoreksję, która szybko przerodziła się w bulimię. Moje poczucie własnej wartości było zmiażdżone. Czułam się zerem. Dopiero po kilku latach, w klasie maturalnej, poczułam, że pomalutku zaczynam stabilnie stawać na własnych nogach.

Wtedy poznałam Darka.

Pewnego dnia wszedł do klasy historycznej i usiadł w mojej ławce. Przez wiele dni, krok po kroku zbliżaliśmy się do siebie. Zostaliśmy parą. Oczytany, mądry, inteligentny, z tym hipnotyzującym błyskiem w oku, wspierający, a zarazem niegrzeczny. Zakochałam się.

Okazało się, że moja miłość do była silna i ... ślepa. Kilka miesięcy przed maturą zamieszkaliśmy razem, a ja poznałam cały wachlarz jego wad. Szantaż był codziennością. Uwielbiał stawać w oknie, jedną nogą machać w powietrzu i szeptać, że skoczy, jeśli nie zrobię tego, co powiedział. Dlatego gotowałam, sprzątałam oraz krzątałam się po cichu za jego plecami, kiedy kolejną godzinę wisił na skypie z kolegami, przy okazji mówiąc w durne gry komputerowe.

Tak mijały tygodnie. Rano spóźniona wlokłam się do szkoły, po południu gnałam do pracy. Wieczorem siadałam do książek i wmawiałam sobie, że wszystko jest ok. W niedzielne wieczory spotykaliśmy się z jego rodziną po mszy świętej. Prawie zawsze czekaliśmy na zewnątrz. Pamiętam, że raz szarpał mnie przed kościołem, bo pod koniec miesiąca nie starczyło mi na papierosy. Zwyczywał mnie i prawie uderzył. Ale przecież wciąż mnie kochał...

Darek według popularnych dziś poglądów był „prawdziwym Polakiem”: zadeklarowanym katolikiem, patriotą, uczestnikiem narodowych marszów, przeciwnikiem aborcji, czytelnikiem książek Ziemiękiewicza, fanem Telewizji Republika, sympatykiem PiS, wrogiem feministek, homoseksualistów oraz wszelkiego „lewactwa”. Swoje umiłowanie do seksu przedmałżeńskiego, czy obrabiania tyłków znajomym tłumaczył naturalną grzesznością człowieka.

Każdego dnia widziałam w nim coraz więcej hipokryzji. Gdy różnice między wyznawanymi ideałami a zachowaniem stały się diametralne - powiedziałam dość. Spakowałam rzeczy i wyprowadziłam się.

Maturę zdałam dobrze, dostałam się na upragniony kierunek. Październik przyszedł szybko. Tak samo, jak rozczarowanie zajęciami oraz ogromem kompletnie nieprzydatnej wiedzy.

Pewnego wieczora spotkałam Darka w Rynku. Wydawał się odmieniony. Znalazł dobrze płatną pracę, zadbał o swój wygląd, zaczął emanować pewnością siebie. Uwierzyłam, że się zmienił. I znów zaczęliśmy się spotykać. Rozmawialiśmy o przyszłości, wspólnym mieszkaniu, dzieciach. Myślałam wtedy, że moje nastoletnie modlitwy zostały wysłuchane. Jego rodzice namówili nas na nauki przedmażeńskie. Byłam szczęśliwa do chwili, gdy zabronił mi samej wychodzić z przyjaciółmi. Upił się, groził, że mnie z kimś zdradzi. Z potyczek słownych przeszliśmy w szarpaninę, w pewnym momencie wziął zamach i uderzył mnie w twarz. Kilka cichych dni zaowocowało rozstaniem.

Po tygodniu zaczął spóźniać mi się okres. Kilka dni później wiedziałam już, że jestem w ciąży. Siedziałam na toalecie z trzema testami w rękach. Sześć kreseczek, trzy razy tak. Szlochałam. Bałam się. Miałam 19 lat. Musiałam podjąć decyzję. Aborcja? Adopcja? Macierzyństwo?

Przez chwilę myślałam, że kiedy Darek dowie się o ciąży, stanie na wysokości zadania. Zadzwońiłam do niego, nakreśliłam sytuację i poprosiłam o spotkanie. Zgodził się, ale chwilę później jakaś dziunia krzyczała do słuchawki, że teraz ona jest jego dziewczyną i że jeśli chcę by do mnie wrócił, to wybrałam żałosny sposób. Śmiech ich obojga był jak siarczasty policzek. Rozłączyłam się.

Nagle zrozumiałam, że on nigdy się nie zmienił. Pod pozorami normalności, wciąż tkwiła ta sama, chora i nieprzewidywalna osoba.

Na miejscu chcieli wepchnąć mi kopertę z pieniędzmi na aborcję. Nie przyjąłem jej.

Długo biłam się z myślami, ale w końcu zadecydowałam: czuję się na siłach, by zostać matką.

To była przemyślana decyzja. Ale co najważniejsze - w pełni moja.

Przerwałam studia, wróciłam do rodziców na wieś. O Czarnym Strajku dowiedziałam się z mediów społecznościowych. Wydarzenia związane z protestem promowało wielu moich znajomych. Popatrzyłam wtedy na mojego syna. Pomyślałam o tym, co przeszłam i o tym, jak ciężko dziś być młodą, samotną mamą w Polsce. Jak przykro być niewidzialną dziewczyną w 8. miesiącu ciąży, albo znosić wzrok pogardy, którym obdarzają Twój brzuch obcy ludzie. Wiem, że trudno stać w długiej kolejce do kasy z dzieckiem na rękach, samej taszczyć siatki do autobusu, czy ogarnąć dom na błysk, kiedy dziecko co chwilę domaga się uwagi. Mam świadomość, jakie to uczucie, gdy w gminnym żłobku nie ma miejsca dla Twojego dziecka lub jak czuje się młoda, ambitna dziewczyna, kiedy pracodawcy zatrząskują jej drzwi przed nosem, bo „nie ma pani wykształcenia”, „ma pani dziecko”, „jest Pani niedyspozycyjna”.

Czy jest ktoś, kto nam o tym wcześniej mówi? Nikt nas nie uświadamia, że takie macierzyństwo to orka. Nasze własne matki w okresie naszych ciąż zaciskają zęby, a dopiero po porodach przyznają, że dziecko jest niewyobrażalnym ograniczeniem. Z drugiej strony, niedzieciate koleżanki z politowaniem patrzą na Ciebie, jakbyś przegrała życie. Gdzie jest ktoś, kto powie nam, że w całym pięknie bycia mamą, jest też ogromne rozczarowanie? Żal do ludzi, żal do siebie. Samotność.

Kochasz swoje dziecko, jest wspaniałe, ale nie porozmawiasz z nim o nieprzespanych nocach, o filmie, na który chciałabyś pójść, o książce, którą pragniesz przeczytać, ale nie masz pieniędzy, żeby ją kupić, bo wbrew panującej opinii, nie da się godnie żyć z zasiłków. Nie pogadasz z synem o ojcu, którego nie ma. Nie pogadasz z nim o tym, że masz ochotę biologicznemu zapładniaczowi po prostu uciąć jaja, bo okazał się gnojem.

Teoretycznie każda z nas może się znaleźć w podobnej sytuacji. Wieloletnie małżeństwa rozpadają się jak zamki z piasku. GUS podaje, że w 2013 roku orzeczono ponad 66 tysięcy rozwodów. Od wielu lat ich ilość wzrastała. Możesz zostać matką długo po ślubie, ale nowe role mogą sprawić, że któreś z was nie wytrzyma napięcia. Niestety, to faceci częściej uciekają od odpowiedzialności. To oni częściej narzekają na zmiany. Nie zliczę, ile razy słyszałam teksty w stylu: „moja baba siedzi w domu z dzieckiem, a tylko ja zapierdalałam”, „moja stara tak się roztyła po ciąży, że nie mam ochoty jej stukać” lub „moja żonka ciągle nie ma ochoty, a przecież całymi dniami nic nie robi”. Nie każda kobieta potrafiłaby sobie z tym poradzić. Choć jesteśmy silne, boimy się zostać same. Kobiety w Polsce wciąż mają pod górę.

Niektórzy myślą, że macierzyństwo to nasz obowiązek. A ojcostwo? Dlaczego mężczyźni nie kara się za to, że odchodzą od partnerek spodziewających się potomka? Dlaczego, jeśli facet dobrowolnie może zrezygnować z bycia ojcem, kobieta za wszelką cenę powinna zostać matką? Czy jesteśmy gorsze, ponieważ zamiast plemników, produkujemy komórki jajowe? Czy naprawdę musimy widzieć siebie jedynie przez pryzmat religii?

3.10.2016 r. ubrałam się na czarno, pojechałam do miasta i wśród tłumu skandowałam „Beata, Niestety, ten rząd obalą kobiety”. Manifestowanie braku zgody na zdeptanie wolnej woli Polek dodało mi siłę, czułam dumę. Walczyłyśmy, by każda z nas mogła żyć w zgodzie z własną wolą i sumieniem. Wyraziłyśmy sprzeciw wobec tych, którzy narzucają nam bycie matkami, choć o prawdziwym macierzyństwie wiedzą niewiele. W nas, kobietach, tkwi ogromna siła. Nie pozwolimy, by jakkolwiek władza ignorowała nasz donośny głos. Dlatego politycy, miejcie się na baczności, bo choć mydlicie nam oczy, my nie składamy parasolek.

SUPERNOVA

MÓJ CZARNY PROTEST TRWA JUŻ OD DAWNA

Przez pięć lat działałam w podziemiu aborcyjnym. Nie sprzedawałam tabletek poronnych. Bałam się o swoją rodzinę. Ale czułam, że muszę to robić, aby przynajmniej w ten sposób podziękować za pomoc, jaką otrzymałam w momencie swojej aborcji. Pomagałam dzieląc się z kobietami i dziewczynami własnymi doświadczeniami i przeżyciami.

9 lat temu zaszłam w ciążę. Niechcianą. Nieplanowaną. Znienawidzoną. Z góry skazaną na niebyt.

Pierwszy moment, kiedy przyszło mi do głowy, że jestem trzeci raz w ciąży był mroźący. Zrobiłam szybki bilans. Mam dziecko dwuletnie. Starsze w podstawówce. I mąż, który kwalifikował się na trzecie. A i jeszcze jego córka z poprzedniego związku. Suma: 4 dzieci. Ja na wychowawczym, z perspektywą braku możliwości powrotu do pracy, która wymagała ciągłego zaangażowania, wyjazdów, nadgodzin, nerwów i stresu. Wiecznie nieobecna w domu. A jak już byłam to nie duchem, bo trzeba było opracować kolejny materiał, kolejną prezentację, kolejną kampanię. I zero pomocy znikąd. Druga ciąża i dziecko było sposobem na ucieczkę od tego, ale na pewno nie po to, aby z pieluch nie wyjść kolejne lata. Raczej, aby znaleźć pomysł co dalej. Co robić, gdzie, kiedy, aby pogodzić życie rodzinne z pracą? Bo jak do tej pory się nie udawało, a teraz z dwójką dzieci w domu, pracą na 16-18-godzinnym etacie bez większego zaangażowania męża. Nie, to było niemożliwe.

Pierwsze objawy ciąży poczułam, jadąc na wakacje z dziećmi nad morze. Mąż prowadził samochód. Wciąż było mi niedobrze. Prosiłam, aby się zatrzymywał. Wymiotowałam. Myślałam, że to choroba lokomocyjna. I to sikanie. Może pęcherz? Dużo piłam. No

ale nie boli, tylko wciąż ciśnie. Coś jednak podpowiadało, że trzeba to sprawdzić. W końcu mógł być jeszcze jeden powód. Niby niemożliwy. Zabezpieczaliśmy się prezerwatywami. Powiedziałam o tym mężowi. Potwierdził. To niemożliwe, przecież uważaliśmy. Nie mogłam być w ciąży, przecież. Kupiłam test, już jak dojechalismy na miejsce. Rajuśku, jak ja nienawidzę testów. Zwlekałam z jego zrobieniem. Wciąż zaklinałam rzeczywistość, że to przecież niemożliwe. Niemożliwe! Niemożliwe!!

Starłam skupić się na wyjściu nad morze, nad wszystkim co trzeba zabrać na plażę, co kupić, co ugotować, gdzie jechać, co zobaczyć. Wziąć czapeczki, filtr na słońce, coś do picia, koc, leżaki, może piłkę, ponton, skrzydełka do pływania, pieluchy, chusteczki, ręczniki, woreczki na mokre rzeczy. Tryby zaprzęgnięte w spędzanie intensywnie czasu z dziećmi. Wieczorem seks. Zaczęłam krwawić. Yesss, przyszedł okres!! Jak dobrze. To znaczy jedno, że nie mogę być w ciąży! Poczułam ulgę i radość. No nic, test się może przydać. Nigdy nie wiadomo, co się w przyszłości może zdarzyć. Ale w kolejny dzień nie było krwawienia. I w kolejny. Zasyphiałam z myślą, że rano jednak muszę zrobić test, bo mdłości i sikanie, mimo wywalczonej w aptece bez recepty furaginy, nie minęły.

I pojawiły się. Dwie kreski.

To koniec. Co teraz? To niemożliwe. Niemożliwe!! Łzy lały mi się po policzkach przez cały dzień. Nie wiedziałam, co robię. Działalam jak automat. Śniadanie, dzieci, plaża, obiad, płacz. Zakupy, deszcz, parasol, płacz. Kolacja, kąpanie, film, piżama, płacz. Nie zasnęłam. W sumie od pierwszego momentu, od pierwszej myśli, kiedy przyszło mi do głowy, że może to być ciąża, wiedziałam, że jej nie chcę. Nie mogłam w niej być. Po prostu ten scenariusz był nierealny. W przeciągu kilku dób dojrzałam do decyzji, że tym razem nie poddam się. Nie pozostawię tego samemu sobie. Nie dam się. Nie teraz. Wiedziałam, czego chcę. Wiedziałam, że nie chcę mieć więcej dzieci.

Na początku swojego planu pomyślałam, że od początku do końca przeprowadzę go sama. Usunę, bez niczyjej wiedzy. No bo po co? Wiedziałam, że to tylko moja sprawa i że nikt nie będzie tak jak zawsze próbował na mnie wpłynąć. Tym razem nie dam się. Wiem, wiem. Jak bym komuś powiedziała, twierdziłby, że to niemoralne, nieetyczne. To się na mnie zemści. Popatrz na swoje dzieci. Pomyśl, że któregoś nie masz, bo usunęłaś. Dasz z tym radę? O nieeeee, nie dam się. Jakbym usunęła, to by ich po prostu nie było! Są, bo je chciałam. I kocham nad życie. Gdybym ich nie chciała, usunęłabym i by ich nie było, nie kochałabym, ot co. I teraz wiem, że więcej nie chcę. Wystarczy. Na więcej mnie nie stać. Ani finansowo, ani psychicznie. Nie wykrzesam z siebie więcej. Wiem to. Wiem to lepiej niż biologia, która zdecydowała, że może jednak w ciążę powinnam zająć. I dawać radę dalej. Ale ja powiedziałam: NIE! Koniec, dosyć! Tym razem to ja decyduję. I wiem, czego chcę.

Powiedziałam jednak mężowi. Stwierdziłam, że tak będzie uczciwie. Nie chciałam mieć wobec niego żadnych tajemnic, które każdego dnia mogłyby wpływać na nasz związek. I tak wiedziałam, co chcę zrobić czy z nim, czy bez niego. Nie mógł uwierzyć, że jestem w ciąży. Nie planowaliśmy więcej dzieci, a nasze warunki finansowe i mieszkaniowe, perspektywa dalszych kilku lat na pewno nie dawały nam możliwości na przyjęcie kolejnego członka rodziny. Nie teraz. Właściwie już nigdy. Zgodził się na mój plan.

Dalszy wakacyjny wyjazd podporządkowany był dzieciom nadal, ale i działaniom, które miały nastąpić po powrocie do domu. Przeczytałam Internet na temat metod usuwania ciąży od A do Zet. Nie miałam wypoczynku. Ciągła gonitwa myśli i lęk, czy plan się uda. Zamówiłam zestaw tabletek poronnych na Women on Web. Bałam się, że nie przyjdą. Jeśli do nas nie dotrą, pojedę do Niemiec, albo na Słowację. Miałam plan awaryjny. Kolejny to były afirmacje. Maszerując z rodziną na plażę, powtarzałam w myślach: Z każdym wykonanym przeze mnie krokiem sprawiam, że nie jestem w ciąży. To mnie uspokajało. Nie wierzyłam w tą afirmację, bo nie wierzę, że od powtarzania w myślach słów, rzeczy dzieją się same. Ale słyszałam wielokrotnie od kogoś mądrzejszego, czytałam też o tym, że tak właśnie jest. Robiłam to, kompletnie w to nie wierząc, ale się tym kojąc. Życie przestało przerażać.

Obliczyłam, że właśnie za 10 dni, jak wrócimy do domu, przesyłka będzie już w Polsce i do mnie dotrze. Modliłam się do Wszechświata, aby tak właśnie było. I kiedy przyjechaliśmy, na następny dzień zapukał do naszych drzwi listonosz-zbawiciel. Drżałam, jak otwierałam drzwi mieszkania - wrota niebios. Ze szczęścia. Trzęsłam się, odbierając kopertę zwiastującą wolność, jak podpisywałam u listonosza odbiór rzeczy jak u skazańca wychodzącego z więzienia, jak zamykałam za nim bramę piekła, z którego udało mi się cudem wyrwać. Drżałam ze strachu i wzruszenia, jak rozrywałam drapieżnie kopertę, jak sprawdzałam jej zawartość. Rozpłakałam się. Czułam radość i szczęście, że wreszcie trzymam swoje życie w rękach, że wreszcie o sobie zdecyduję.

Pierwszą tabletkę połknęłam natychmiast. Mój ukochany mąż - Judasz mi tak polecił. - Po co masz czekać? Będziesz to miała szybciej za sobą. Zajmę się dziećmi, będzie wszystko dobrze - zapewniał.

I było. W kolejny dzień kolejne tabletki. Krwawienie, biegunka, ból, powstrzymywanie wymiotów skakaniem, zajmowaniem się codziennymi, rutynowymi, domowymi obowiązkami. Córka poprosiła o popcorn. Uwielbiałyśmy popcorn. Jadłyśmy razem, oglądając jakąś bajkę. Cieszyłam się z każdej fali bólu, z każdego skrzepu, z każdego skurczu, z gorączki. Po dwóch godzinach przyszła fala większego bólu. Wyleciał duży skrzep. I polało się ze mnie mnóstwo krwi. Bałam się. Nie wiedziałam, czy jest ok. Czy już po wszystkim? Ale powoli w moim ciele się uspokajało. Krwawienie wciąż było, ale

miałam przecucie, że już jest po poronieniu. Poczułam wtedy wszystko. I żal. I smutek. I gorycz. Ale i radość. I szczęście. A przede wszystkim przemożną, wszechogarniającą, nie do opisania wielką ulgę.

Ale i strach o siebie. Nie byłam pewna, czy nie za dużo krwawię. Nie do końca wiedziałam, jak to ma dalej przebiegać. Nie wiedziałam, jak długo to będzie trwać. Trochę mnie sprawa zaczęła przerażać. Zaczęłam szukać w Internecie informacji. Znalazłam forum, na którym dziewczyny pisały, jak u nich to przebiegało. Odnalazłam tam siebie. W przebiegu procesu, w przeżyciach, w uczuciach, w obawach i lękach. Zaczęłam pisać, pytać się, upewniać, czy u mnie wszystko jest w porządku. Dostawałam natychmiastową odpowiedź i wsparcie. Pisałam do momentu pierwszej miesiączki tzw. akcji. Akcji, która była początkiem u mnie wielkiej kobiecej przemiany, dającej mi siłę i poczucie wewnętrznej mocy. Mocy decydowania o sobie i swoim życiu. Wsiąknęłam. Zostałam. Dzieliłam się własnymi przeżyciami, siłą, mocą, wspierałam kobiety w akcjach, w czasie oczekiwania na tabletki, w trakcie ronienia i po nim, do wielkiego święta otrzymania daru zalania przez Morze Czerwone, do pierwszej wizyty USG potwierdzającej, że ciąży nie ma, do momentu upewnienia się, że nastąpiło uwolnienie. Forum działało. Z koleżankami założyłyśmy na tych doświadczeniach infolinię. Anonimową. Codziennie dzwoniły dziewczyny/kobiety lub ich mężczyźni. Towarzyszyłyśmy całej rzeszy potrzebujących w procesie kontrolowanego i bezpiecznego farmakologicznego poronienia.

Dziś już tego nie robię, choć robią to dalej inne dziewczyny. Pałeczka wsparcia została przejęta i jest kontynuowana. A one, pomocne kobiety, będą zawsze dopóty, dopóki będą i te potrzebujące. Jeśli któraś zdecyduje się, że urodzi, to urodzi. I będzie kochać. Jeśli będą chciały usunąć, nic ich nie powstrzyma. Bo nic nie powstrzyma procesu uwolnienia, uczucia ulgi, poczucia mocy panowania nad własnym życiem i ciałem. I będzie istnieć, występować wraz z pragnieniem zapanowania nad własnym życiem, pewnej czego chce kobiety.

Dziś kroczę drogą mającą na celu zmianę postaw kobiet i mężczyzn w naszym kraju. Działam na gruncie oświaty, staram się nieść ten kaganek wiedzy i umiejętności w zakresie edukacji praw reprodukcyjnych. A mój Czarny Protest trwa od dawna. Od momentu mojej aborcji. 3 października był Wielkim Dniem Wyzwolenia, manifestacji sprzeciwu wobec tych, którzy głoszą co mam myśleć i czuć. Był dniem też wszystkich tych, które od lat w zaciszu domowym pomagają bez rozgłosu, bez splendoru, anonimowo. Niosą wsparcie swoim siostram, przyjaciółkom, koleżankom, znajomym i nieznanym. 3 października był dniem solidarności i protestu wszystkich tych, którzy świadomie powiedzieli: Dość!



Zdjęcie: JohnBob & Sophie art



Zdjęcie: JohnBob & Sophie art



Zdjęcie: JohnBob & Sophie art



Zdjęcie: JohnBob & Sophie art



Zdjęcie: JohnBob & Sophie art



Zdjęcie: JohnBob & Sophie art



Zdjęcie: JohnBob & Sophie art